AS



Nr. 49
6 GRUDNIA 1936
CENA 40 GROSZ

Po wizycie

MARY MAYER

Zwycięstwo nad młodością...



Drży małe lusterko w rękach Eve Eveyer. Co to? Pyta sama siebie zciszonym głosem Pierwsze zmarszczki pod oczymal— Zamyśla się. Jak ja to kiedyś słyszałam? Aha. Pierwsze zwiastuny zamierającej młodości. Kto tak mógł powiedzieć? To brzmi jak wypowiedziane przez usta fachowca. Czyżbym już naprawdę skończyła pierwszy etap życia? Ewa przegląda się bliżej — wnikliwiej. Napina skórę, rozwiera oczy, mruży je. Palcem wodzi po policzkach. Ile to lat mam naprawdę. 1905! Urodziłam się w grudniu. Haha! Haha! zaśmiewa się Ewa. Zaczynam sobie liczyć lata i zdaje mi się, że od dziś zacznę je odejmować. Tak, tak! Powiedziałabym inną sentencję. — Nie pierwsze zmarszczki są zwiastunami zamierającej młodości. O nie! Pierwsze dokładne obliczanie sobie lat— to przełomowy okres w życiu kobiety. A czy ja dawniej nie miałam zmarszczek? Ile jeszcze! W ósmej klasie, pamiętam, przed jakiemś zebraniem kółka literackiego — nagle przeszłyśmy na temat urody. I jak dziś pamiętam: trzymałam w ręku małe lusterko. Ile to śmiechu było, ile drwin ze „starszych pań". Dziesięć... zaraz... nie — dwanaście lat temu. Moment ten dokładnie sobie przypominam: dziś, gdy jestem po trzydziestce, a czas płynie, ucieka szybkimi krokami.

Eve Eveyer przegląda się raz jeszcze w lusterku. Na górnej lewej powiece tworzy się jakaś fałda — dawniej wdzięk, gdy się uśmiechała, dziś jakoś ponuro wygląda to załamywanie się skóry, to zwisanie bezwładne. Eve podnosi kąciki ust, stara się uśmiechnąć tak jak dawniej — jednak w zdenerwowaniu wykrzywia usta, w grymasie, jaki zjawia się na twarzy w miejsce uśmiechu — dwie głębokie brózdy pełzną wzdłuż policzków, wywołując zaniepokojenie tak wielkie — jak może nigdy.

Oczy wypełnione łzami z żalu za czemś nieocenionem, minionem. Chwila wielkiego napięcia nerwowego ustępuje wobec opanowania sytuacji.

Eve przypomina sobie wczorajszą rozmowę w towarzystwie, gdzie zachwycano się jej urodą, młodością i wdziękiem. Tak! Istotnie wyglądała zajmująco. Świetnie wykonany maquillage, bardzo dyskretny — delikatny — dobrze włożony kapelusz, dobrze skrojona sukienka, a poza tem aureola sławy, jaką owiane jest jej nazwisko. To przecież tak bardzo podnosi wartość urody. Eve przenika w lot myśli ludzkie. Nie wolno, nie wolno, ani na chwilę nie wolno mi ugiąć się pod ciężarem 30 lat! Przecież dzisiaj dopiero czuję się bardziej wartościową jednostką. Mój skarb wewnętrzny, nieobliczalnie drogocenny — to doświadczenie życiowe. Moja kultura duchowa więcej jest warta, niż tysiąc tysięcy zmarszczek. A że dziś nastała chwila zwątpienia, niewiary, ot poprostu ze zmęczenia fizycznego, mniejsza z tem!

Rozpamiętywanie dawnych dni wpływa zawsze deprymująco na psychikę. Uciekam więc od myśli o przeszłości, bronię się przed wizją minionych lat. Przeszłość postarza — żyjmy więc jutrem — nadzieją tworzenia coraz ciekawszych fragmentów swojego życia

Tak, okłamuje się wewnętrznie Eve Eveyer. A jednocześnie sprawne ręce masażystki modelują jej mięśnie. Potem gimnastyka, prysznic. Potem — maquillage. Długie namysły nad doborem koloru do warg, na policzki. Wreszcie przyjdą zabiegi kosmetyczne, posiedzenia w wygodnym fotelu najwytworniejszego Instytutu kosmetycznego — mające opóźnić bieg lat...

— — — — — — — — — —

— Pani jest pewna, że za granicą nie noszą lakieru na rano? — Ależ zapewniam Panią, że stosowanie na dzień lakierowanych paznokci nie należy już do dobrego tonu. Natomiast muszą być utrzymane w nieskazitelnym porządku.

— A wie Pani, że dziesięć lat temu, lakier był prawie zupełnie nieznany, a jednak wytworne kobiety miały piękne paznokcie? — wtrąca Eve Eveyer.

— No, nie tylko 10 lat temu. W starożytnej Grecji nie znano lakieru: Rzymianki tak bardzo dbające o wygląd zewnętrzny także napewno nie stosowały cudownych, kolorowych werniksów. Zabawne — myśli — Eve — zabawne tematy: n. p. zagadnienie powstania oraz istota lakieru do paznokci Jakiż to temat chodzi mi po głowie: 10% produkcji kosmetycznej świata — to lakier do paznokci dla płci pięknej — to jakiś zapewne ułamek procentu ogólnej wytwórczości chemicznej obok gazów: iperytu naprzykład.

Ciepła fala krwi uderza do twarzy... Subtelne ukłucia... zabandażowana głowa. Eve patrzy do lustra naprzeciw... dziwne skojarzenia... iperyt... maska.

Maska? — pyta. — Tak, to maska! Słyszy miękki głos smuklej dziewczyny, kapłanki urody najwytworniejszego Instytutu Piękności.

— Tak, proszę Pani, to ostatnia nowość — maska gazowa... — Gazowa... powtarza jak echo Ewa...

— — — — — — — —

Skóra napięta od pulsujących w krwi soków odżywczych wygląda młodzieńczo. Smutne myśli rozpierzchły się i nic z nich nie pozostało. Krótko trwająca świadomość lęku przed widmem starzenia się, ustąpiła pod wpływem balsamicznych maści, dobroczynnych rąk, spełniających obowiązki automatu do pobudzania cyrkulacji krwi przy współudziale krótkofalowej energji, zamkniętej do wielkiego pudła z ebonitową tablicą rozdzielczą.

Ból psychiczny, który wczoraj, 12 grudnia roku 19... wstrząsnął całą istotą Eve Eveyer — przeistoczył się w okamgnienie następnego dnia w radosny entuzjazm zachwytu nad nieskazitelnym owalem twarzy po pierwszym w życiu zabiegu kosmetycznym. Eve przytuliła rozpaloną twarz do chłodnej tafli lustra w skupieniu przyrzekła nie powtórzyć więcej wzruszającej sceny z powodu objawów starzenia się.

— — — — — — — —

Ileż miljonów razy spoglądała Eve Eveyer do lustra w ciągu ostatnich 15 lat! Ileż uczuć sprzecznych wyczytaćby można w owem badawczem, surowem spojrzeniu! Ale Eve Eveyer nawet na chwilę nie zapomni danej obietnicy... Zresztą czuje się doskonale, wygląda zajmująco, ma dopiero 45 lat, jest u szczytu sławy i wie, że istnieje wiele metod i środków, które prawdopodobnie mogą przywrócić to, czego nie chce powiedzieć sobie samej ani szeptem, ani głośno — uroku młodości!

W paryskim Instytucie chirurgji kosmetycznej Susette Duhall nie łaknie cudu. Nie nazywa po imieniu wad kosmetycznych swojej twarzy: zmarszczek wokoło oczu, konturu wyrzeźbionych brózd wokoło ust. Jest pewna siebie, wyniosła, sztywna, gdy przemierza poczekalnię, wiodącą do sali badań.

— Jak Pan — Doktorze — znajduje stan mojej skóry? — zwraca się Eve z ujmującym uśmiechem do srebrnowłosego pana, zasnutego w niepokalaną biel fartucha.

— To są poprostu cechy rodzinne. — Te brózdy wokoło ust, a zmarszczki na czole potrafiły zawsze drażnić; pamiętam — nauczycielkę przyrody. — Tendencja do rysującego się podbródka zawsze była, Panie doktorze. Tylko teraz trochę wyraźniej zniekształca mi on owal twarzy... Aeropag lekarzy patrzy na siebie porozumiewawczo. W pobłażliwym uśmiechu, odczytuje się prawdę: niema kobiety, której po przekroczeniu pewnej granicy wieku, możnaby szczerze powiedzieć o brakach jej urody. Okaże się, że żadna nie ma zmarszczek. Chyba tych kilka wrodzonych, — od dzieciństwa zapamiętanych...

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 49 **Niedziela 6 grudnia 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 49-GO:

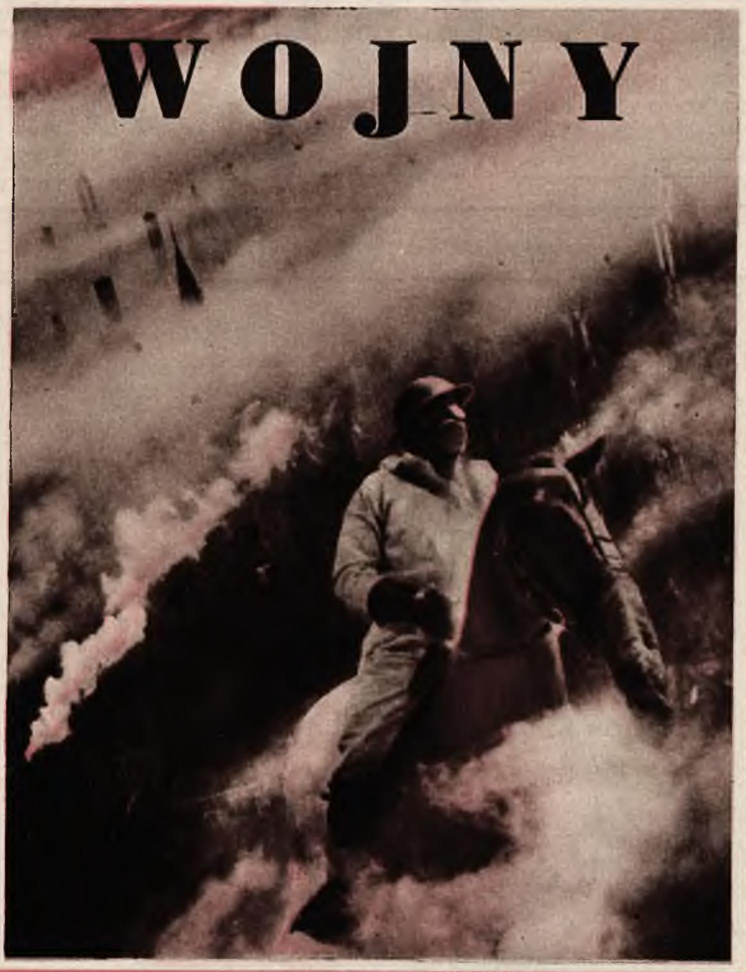


Fot. NEW YORK TIMES — LONDYN.

W ub. tygodniu prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. Roosevelt dokonał otwarcia największego mostu świata, który połączył San Francisko z miastem Oakland. Gigantyczna ta budowla, która wiedzie ponad Oakland Bay, kosztowała zgórą 77 miljonów dolarów i jest nawet na stosunki amerykańskie rekordem w dziedzinie techniki. Na zdjęciu: Pierwsze samochody, przejeżdżające przez most tuż po jego otwarciu.

za kulisami przyszłej

WOJNY



Upiorny cień przyszłej wojny — jeździec i koń w maskach gazowych na tle metropolji Nowego Świata, spowitej w chmury trującego gazu...
Fotomontaż J. M. Brzeski.

Miałem pomysł na rysunek „mikołajowy". Dobrotliwy starzec z długą mleczną brodą leci sobie na trójmotorowcu bombowym nad miastem uśpionem. Gdzieś na górnem piętrze wysokiego domu dwoje dzieci pisze list do św. Mikołaja:

— I przynieś nam święty Mikołaju...

Dzieci nie skończyły listu. Z samolotu odrywa się bomba, która spada na dach wysokiego domu.

Niestety żaden z rysowników nie chciał się podjąć tego zadania. Nawet najodważniejsi karykaturzyści obawiali się tego tematu. A przecież taki rysunek „humorystyczny" — mógłby stać się natchnieniem dla lotników, wyruszających do ataku powietrznego w dniu 6 grudnia. Mogliby sobie poprzyprawiać długie, mlecznej białości brody, a zamiast kombinezonów lotniczych włożyć długie czerwone płaszcze — i zrzucać bomby lotnicze, przewiązane różowemi wstążeczkami... Bomby dla grzecznych dzieci...

Groza wojny!... Jest ona coraz bliższa. Wygląda to tak, jak wyszukiwanie przeciwnika przez artylerję. Pierwszy pocisk padł gdzieś daleko, drugi już bliżej — czekamy na pocisk trzeci... Daleką i egzotyczną była wojna abisyńska, — teraz rozgorzała wojna bliższa — hiszpańska... coraz bliżej naszych granic...

Idziemy ku wojnie. Lada dzień rozerwie ona granice hiszpańskiego kotła i zagrozi całej Europie. Może spełni się wielka przepowiednia Wellsa — rzucającego na srebrny ekran wizję przyszłej, niszczącej ludzkość wojny.

Widzieliśmy na fotografjach domy w miastach hiszpańskich — przepołowione bombami lotniczemi. Pocisk przebijał wysoki gmach, sięgając jego fundamentów.

Śmierć działa coraz sprawniej, coraz szybciej. Wojen nie wypowiada się już. Niema czasu na słowa, gdy przemówią bomby i czołgi.

Zrywają się nagle do śmiertelnego lotu szarańcze eskadr lotniczych. — Pędzą w noc ciemną ku miastom obcym, rzucają się z góry, jak sępy — i dokonują dzieła zniszczenia. Miasto starte na proch. Gaz... Oszalały krzyk przestrachu ugrzązł w gardle. Oczy wyszły z orbit. Ludzie biegną naoślep przed siebie. Walą bomby. Terkoczą karabiny maszynowe. Gaz... wszędzie gaz... chwyta za gardła... dusi, wali na ziemię...

Padł człowiek, chce zaczerpnąć świeżego powietrza... Odetchnąć...

Łoskot walących się domów. Tonny bomb spadają na miasto. Kruszą się dumne drapacze chmur. W mieście, które dyszało zabawą, radością, śmiechem — rodzi się straszne cmentarzysko...

Próbowały bluzgnąć śmierci baterje przeciwlotnicze. Zduszono je pociskami, nim mówić zaczęły...

Nad miastem krążą szerokiemi łukami samoloty... Nie chwyta ich już sieć reflektorów, są bezpieczne i pewne siebie. Zwycięstwo!...

* * *

Wojna przyszłości! Promienie, wysyłane na znaczne odległości, niszczą wszelkie dzieło obronne. Niema już życia na powierzchni kuli ziemskiej.

Ludzie — jak pierwsi chrześcijanie — schodzą do podziemi. Świat staje się jednem wielkiem kretowiskiem. Zamiast piąć się w górę ku słońcu, ku niebu, człowiek zeszedł w ciemności wnętrza ziemi — i kry-



Ludność stolicy, zaskoczona niespodziewanym atakiem gazowym z powietrza, ucieka w panice... (z filmu Wells'a „Rok 2000").



W momentach grozy wojsko nie zapomina nawet o dzieciach, które ubiera w maski gazowe... (z filmu Wells'a „Rok 2000").

Poniżej: Rowy strzeleckie budzą się do ataku... (z filmu Wells'a „Rok 2000").



je się przed bratem... Przed bratem, który ma w rękach promienie śmierci.

Ludzkość zdobyła broń tak straszliwą, iż wszelka wojna staje się nonsensem... Zbrojenia doprowadziły do absurdu. Wybuch jakiegokolwiek konfliktu doprowadziłby do zupełnego wyniszczenia życia na ziemi.

To jest wniosek logiczny, wyciągnięty z wyścigu zbrojeń. Ba! —



Budowa miasta odbywać się będzie w przyszłości pod powierzchnią ziemi z pomocą olbrzymich dźwigarów, zaopatrzonych w elektromagnesy... (z filmu Wells'a „Rok 2000").



Architektura przyszłych budowli przemysłowych odznaczać się będzie gigantycznemi rozmiarami... (z filmu Wells'a „Rok 2000").

lecz gdzie są granice owego absurdu? Kiedyż nareszcie uświadomimy sobie, że mamy broń już tak groźną, iż użycie jej zamieni świat cały w jedno wielkie cmentarzysko?...

Gdy poczciwy Alfred Nobel wynalazł dynamit — zdawało mu się, że ludzkość znalazła się już w tym punkcie, który przewiduje Wells. Przypuszczał, iż użycie dynamitu wszechniszczącego sprowadzi pokój powszechny.

Dynamit nie spacyfikował świata. Przyszła broń groźniejsza — lotnictwo — potem gazy. O! nie jesteśmy jeszcze u wellsowskiego kresu wyścigów zbrojeniowych...

Groźne chmury zebrały się nad Europą. Wszystkie przemysły wojenne państw europejskich pracują pełną parą. Europa zbroi się...

I właśnie w tym okresie świetnej konjunktury — odszedł z tego świata człowiek-symbol: Bazyli Zacharow. Tajemniczy ten starzec był „ojcem chrzestnym" pierwszej łodzi podwodnej, karabinu maszynowego, lotnictwa bojowego. Rozpętywał konflikty międzypaństwowe; rozpalał ruchy rewolucyjne, by znaleźć zbyt dla swych fabrykatów.

Zacharow umarł — lecz przemysły wojenne pozostały. Pozostały, by dalej się udoskonalać.

Pamiętajmy, że przemysł zbrojeniowy ma w sobie coś z przemysłu modniarskiego. Na wiosnę, na jesień, na zimę trzeba obmyślać nowe modne modele samolotów bojowych łodzi podwodnych, czołgów.

Co pewien czas ministrowie stają przed składami materjałów bojowych i z pogardliwą miną dochodzą do wniosku:

— *Ależ to już dawno wyszło z mody... kto dziś nosi takie karabiny...*

Tak jak piękna pani, wykrzywiają pogardliwie usta i zamawiają u swego „krawca":

— *Tylko to musi być coś zupełnie nowego. Coś, co się jeszcze nie „opatrzyło"... i to ma być model wyłącznie dla nas...*

A potem robią awantury:

— *Panie... dostarczył pan nam armat, jakie już wszyscy posiadają...*

Stosuje się prostą, ale skuteczną metodę Zacharowa. Jeśli Grecja kupiła odeń jedną łódź podwodną — to natychmiast zaproponował Turcji — kupno dwóch łodzi podwodnych...

Przed przemysłem wojennym rozwijają się wspaniałe perspektywy: chemja, fizyka pracuje nad wynalezieniem nowych coraz to doskonalszych narzędzi śmierci...

Żyjemy pod hasłem „Coraz szybciej"...

Tak! Coraz szybciej zabijać... Co masz zabić jutro, zabij dzisiaj...

Dokończenie na str. 31-ej.



Bazyli Zacharow w stroju kawalera angielskiego Orderu Łaźni.



Piękno form, stworzonych przez człowieka, o zaklętych w masę stali śmiercionośnych narzędzi wojny, rywalizuje z pięknem form przyrody, która nas otacza... *Fotomontaż J. M. Brzeski.*

Poniżej: Nadejdzie dzień, w którym padną w gruzach liczne warsztaty pracy, a wśród nich gigantyczne fabryki broni i amunicji, zniszczone siłą, którą same stworzyły... *Fotomontaż J. M. Brzeski.*



ARTYSTA Z KOPALNI "WAWEL"



„Kościuszko na koniu" — rzeźba z węgla.

Nie po raz pierwszy zetknąłem się na rozległych ziemiach Polski z bezimiennymi twórcami pieśni gminnej, autorami ballad i samoukami prymitywu pędzla i dłuta. Rozmawiałem z nieuczonymi, bez dyplomów, chłopskimi rzeźbiarzami, takimi sobie z „Bożej łaski", bez dyletantyzmu akademickiego, takimi to, co prostym kozikiem „Boże męki" dłubali na rozstajach...

Rozejrzyjmy się zatem po ziemi śląskiej, tej najstarszej domenie rodu piastowskiego.

Wiemy cośkolwiek, chociaż bardzo mało, o Pawle Kozubie, rzeźbiarzu-pastuchu, żyjącym w wieku XVI-tym w okolicach Cieszyna, wysługującym swą młodość dworskim wielmożom pasaniem bydła, — a polskiej kulturze, na świadectwo prawdy dziejowej, przysparzający mnóstwo figuralnych postaci świętych, grubo i twardo rylcowanych w lipie, gruszce, czy drzewie jakie było na podorędziu.

Prof. M. Lewicki, wspomina w szkicu o rzeźbie ludowej na G. Śląsku, o Stanisławie Świertni, Józefie Wiślicy, Janie Bujaku i mniej znanych ludowych rzeźbiarzach u schyłku wieku XVIII i początku XIX z okolic Pszczyny, Skoczowa, Piekar, Hermanowic i Raciborza.

Niemniej jednak interesująco przedstawia się dzisiejsza twórczość ludowej rzeźby na Śląsku po zespoleniu w jeden organizm państwowy. — Tężyzna twórcza nietylko nie zmalała, ale wzmogła się i spotęgowała na sile, nabierając bardziej zdecydowanych efektów i walorów artystycznych. — Jeżeli mowa o rzeźbie, to ma ona w obecnej chwili licznych reprezentantów w środowiskach górniczych. Tylko drzewo, z wyjątkami, zastąpił węgiel.

Na wyróżnienie zasługuje górnik, Józef Poniszewski, rzeźbiarz samouk, pracujący do dziś dnia nieprzerwanie w podziemiach kopalni „Wawel" w Rudzie Śląskiej.

Poznałem go na wystawie rzemieślniczej w Rudzie, gdzie wystawił kilka rzeźb w węglu, zwracających powszechną uwagę oryginalnością tematu, jak i precyzyjną techniką wykonania, o subtelnej linji rylca.

Górnik z ojca i dziada, dobiega już do sześćdziesiątki. Życie od wczesnej młodości nie słało mu drogi różami, ani matula nie śpiewała nad kołyską o rajskich wyrajach, bo nie było nadziei na lepszą dolę, poza ciągłością kontynuowania pracy po ojcach w zachłannych ostępach mrocznych podziemi, ziejących z czeluści rozpadlin, wyrw, urwisk i stalaktytów węgielnych — niechybną zgubą i czarną śmiercią...

Więc poza szkółką elementarną, nie otrzymał żadnego więcej wykształcenia.

I cóż z tego, że wśród rówieśników szkółki, Poniszewski uchodzi za zdolnego „Kunstmalera", gdy trzeba z konieczności porzucić marzenia o jakiejś akademji „sztuk", a ująć oskard, pozostawiony przez „ojce" w spadku.

Na farby i „rynsztunek" malarski — nie stało. Za szczupły zarobek, jaki ledwo wystarczał na jaką taką wegetację, nie dawał żadnej perspektywy studjów malarskich. Więc chwycił się rzeźbiarki, bo o kozik i drzewo było łatwiej. I strugał Madonny, Jezusicków Cierpiących, ciął w gruszce oblicza świętych, popularnych patronów z błogosławionym Sarkandrą, rzezał sposobem uszlachetnionego prymitywu.

Te pierwsze rzeźby rozeszły się po znajomych, którym talent Poniszewskiego nie był obcy, i po okolicznych kościółkach drewnianych, gdzie prymitywna rzeźba nieuczonego, ludowego artysty, dziwnie harmonizowała z architekturą drewnianą wnętrz świątyń.

Najpiękniejszemi chwilami dla młodego rzeźbiarza były te, gdy jego drewniane posążki Matki Boskiej Piekarskiej, czy innych świętych, z nabożnem namaszczeniem stawiano w uroczystym akcie uświęcenia na ołtarzach po kościółkach śląskich.

Zapytuję więc rzeźbiarza-górnika o bliższe szczegóły tej „niesamowitej" twórczości.

— Nie wszystkie rzeźby z lat młodocianych zachowały się do dzisiaj, — opowiada Poniszewski. — Niektóre w dziwnych wypadkach losu — poznikały. I z tych pierwszych rzeźb — za wyjątkiem „Chrystusa Bolejącego", nie została żadna.

Miał ich jednak bardzo wiele. — Nie prowadził zapisków, bo nie przykładał wagi do tworzywa, które, w opinji Poniszewskiego, samo się z prostego drzewa kształtowało i uplastyczniało.

— Jakoś mi to samo wyłaziło z pod dłutka, nie wiedzieć jak i kiedy — objaśnia Poniszewski. — Czasami przychodziła taka chwila, co nie dawała spokoju, chodziła śladami moimi, nagabywała i wpychała do ręki rylec i dłuto. Nie sposób było się otrząsnąć od tego tajemniczego nakazu i jakiejś przemocy i siły, co prześladowała dniem i nocą.

Równocześnie z surowego, nieobrobionego drzewa, przy pomocy cyzelatorów, wyłaniało się tworzywo...

— Były znów chwile — mówi dalej Poniszewski — które ciągnęły się tygodniami i miesiącami, gdzie ów nakaz wewnętrzny, jak mówią „światli ludzie" — natchnienie, nie przychodziło. Próżniaczyłem zatem, nie próbując brać do ręki... kozika!

Młodość szybko mu przemknęła. Nadszedł wiek męski i zrównoważenie. Kopalnia pochłonęła w przepastnych czeluściach Poniszewskiego, gdzie w złomach węgla o najróżnorodniejszych kształtach i formach, ujrzał nieprzebrane źródło zachwytów i odrębny świat dziwów... Z nieforemnych brył, kształtowały mu się i wyłaniały niesamowite postacie, ludzi lub zwierząt, wyjęte jakby z legendarnych opowieści.

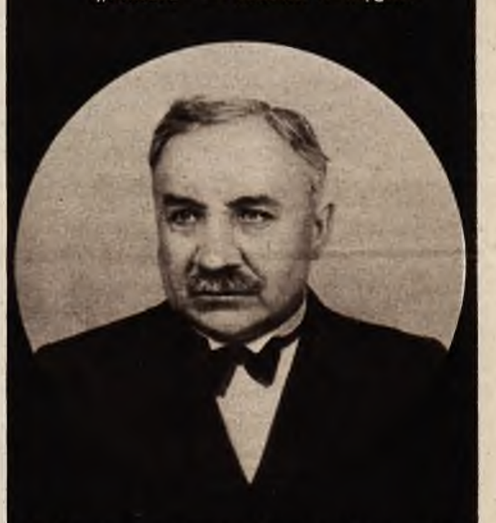
Porzucił więc drzewo, a „chwycił" za węgiel, który w ręku rzeźbiarza prymitywu nabierał właściwych linij i kształtów, życia i wymowy. I tak powstały liczne rzeźby w węglu i drzewie. Rzeźbiarki nie porzucał nawet w okopach w czasie wielkiej wojny. Tworzył przeważnie figuralne typy żołnierzy. Te bezimienne rzeźby Poniszewskiego powędrowały do Niemiec, na Bałkany, do Włoch, jako oryginalne tworzywo.

— Nastrugało się tego bez liku, i rozeszło się po ludziach — mówi Poniszewski.

— Więc są zapewne sukcesy materjalne? — zagadnąłem.



„Piłkarz" — rzeźba z węgla.



J. Poniszewski, śląski artysta-górnik, który zużytkował węgiel jako fakturę rzeźby.



„W podziemiach kopalni" — scena wykuta w węglu.

— Żadne! — odpowiada. — Gdyby było inaczej, nie marnowałbym sił i zdrowia w podziemiach kopalni.

Oglądam prymitywne narzędzia rzeźbiarskie, proste sobie dłuta i rylce. Naturalnie, też „swojej roboty"! Spoglądam na stojącą obok rzeźbę Marszałka i porównuję artystyczne tworzywo z prymitywnemi narzędziami, jakiemi się posługuje górnik — rzeźbiarz z zawołania.

W rzeźbach Poniszewskiego niema prostych sposobów przetwarzania rzeczywistości na twór plastyczny. Technika nawskroś oryginalna, powiedziałbym, nie pozbawiona nawet zmysłu praktycznego, gdy chodzi o trudniejsze rozwiązanie problemu artystycznego. Wiedzy i środków technicznych domorosłemu artyście nie brak.

Nie operuje półśrodkami. Węgiel w jego rękach jest najpodatniejszym materjałem w trakcie rozplanowywania rysunku i wymierzania proporcji na powierzchni nierównej i niekształtnej bryły. Linje i kontury są śmiałe w swych rzutach. W punktach stycznych i opływowych zgodnie się harmonizują, nie stwarzając krzyczących dysproporcyj i kakofonji optycznych. Tak samo anatomja mięśni w rzeźbach Poniszewskiego jest wierna w swym układzie i nadwyraz plastyczna.

Nie wiem, czy akademja sztuk dałaby coś więcej temu rzeźbiarzowi „z Bożej łaski", poza wiedzą teoretyczną. A jednak ta akademja jest w zamiarach Poniszewskiego najczulszą struną — czemś już na zawsze niedoścignionem.

Czas już mi opuścić ciekawe atelier rzeźbiarza-górnika. Poniszewski przygotowuje się do nocnej pracy w kopalni. Zwracam mu uwagę na kardynalny błąd, jaki popełnia od wielu lat, nie podając swego nazwiska przy rzeźbach. Przyrzeka mi błąd naprawić.

Wychodzimy razem, kierując się ku kopalni „Wawel". Poniszewski idzie zadumany z głową pochyloną. Nie przerywam mu tej zadumy, gdzie się z pewnością tłuczą mary co mu się nigdy nie ziściły.

Mieczysław Fiołek.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

W ostatnich dniach ukazał się dodatek do katalogu Michla za miesiąc listopad, przynoszący szereg danych o ostatnich nowościach, ale wstrzymamy się narazie z opisem ich, a zajmiemy się zmianami cen.

Otóż dawniej zdarzało się bardzo rzadko, aby w ciągu roku redakcja katalogu stwierdzała (przeważnie na podstawie wyników



Od lewej: Nowy znaczek grecki, wydany z okazji sprowadzenia zwłok króla Konstantyna I. oraz nowy znaczek duński z podobizną znanego reformatora Hansa Tausena.

aukcji), że zaszły godne zaznaczenia zmiany. Tym razem jednak niema jednego dodatku, aby nie trzeba było notować wieloprocentowej „haussy" i to, co ciekawsze, znaczków nowych.

Rzecz dziwna — przecież tylko klasyczne marki posiadają prawdziwą wartość filatelistyczną, a nowe cieszą oko tylko wyrazistością rysunku i świetnością wykonania, gdyż celem ich jest właściwie tak często tylko wklejenie do albumu!

Największym powodzeniem cieszą się jednak znaczki lotnicze i to takich krajów, które wydały ich skromną ilość. Żal tylko, że u nas w M. P. i T. niema chyba zbieracza, bo przez brak znaczków lotniczych ponoszą szkodę nietylko polscy zbieracze, ale i skarb państwa! U. S. A. i Niemcy, to dwa państwa, w których istnieje prawdziwe zrozumienie dla filatelistyki, ale też ilość zbieraczy przekracza tam daleko wielkość nakładu poszczególnych wyższych wartości znaczków lotniczych.

Najdroższym znaczkiem Niemiec w chwili obecnej stała się 4-markówka z Zeppelinem — 100 „Polarfahrt", która zwyżkowała z 70 na 90 marek, a inne niższe wartości poszły za jej przykładem. Tak samo bloki wystawowe Iposta, lub Ostropa, sprzedawane były na aukcjach po 1 zł. za markę Michla przy cenie wywołania 70 proc. Obecnie są notowane o 30 proc. wyżej niż we wrześniu.

Odpowiednikiem serji zeppelinowej niemieckiej są podobne znaczki USA. i popyt na nie jest tak wielki, że wartość za 2.60 dolara doszła do ceny płaconej za 5 dol. z Kolumbem z 1893 r. Zupełnie niesłychaną jest zwyżka pojedyńczej marki lotniczej za 50 c. z okazji wystawy w Chicago. Dodatek notuje ją obecnie 20 marek przy cenie poprzedniej 4.—. Naszem zdaniem zwyżka ta była zresztą zupełnie uzasadniona, bo w Polsce znaczka tego w handlu dostać nie można. Filateliści wyciągnęliby w przyszłości bezwątpienia należyte wnioski z naszych uwag i kupowaliby już wszystkie bez wyjątku nowości, gdyby mieli pieniądze! Ale na to, aby nabyć wszystko, co się rocznie ukazuje, trzeba być chyba miljonerem!

Z „pospolitych", ale zato regularnych nowości reprodukujemy dzisiaj ze zbioru p. A. Szperbera Danję i ze zbioru p. Jadwigi Seegin Grecję.

Aukcje: Dorotheum, Wien I. Dorotheergasse 17. Instytucja ta wydaje perjodyczny „Nachrichtenblatt für Briefmarkenauktionen" dla licytacyj, odbywających się w każdy wtorek

W. H.



BR·GLIPS

N O W E L A

MARJA KĘDZIORZYNA

Panna Wanda wchodzi do poczekalnii i rozgląda się. Pusto. Żółte światło lampy oświeca drewniany stół i ławy pod ścianami. Kilka afiszów, aktualnych przed rokiem, oblepia ściany W kącie czernieje okrągły piec.

Panna Wanda podchodzi do niego i dotyka go ręką. Przez rękawiczkę czuje jego zimno. Wzdryga się. Kładzie walizkę na ławce i siada obok.

Zza nieszczelnych drzwi od restauracji słychać czasem szczeknięcie noża, czy widelca i powolne kroki.

Napiłaby się chętnie ciepłej herbaty. Ale niema. Była przed chwilą tam, w restauracji i dowiedziała się, że teraz już herbaty nie wydają. Że może ją dostać dopiero przed nadejściem następnego pociągu — za cztery godziny.

Więc panna Wanda przyszła tutaj i czeka na tę herbatę i na pociąg. Jest tak zła i zmartwiona, że o mało nie płacze. Bo pewno. Nic nie wiedziała, że wyszedł nowy rozkład jazdy. I że ten pociąg, którym zwykle jeździła, nie ma teraz połączenia. Wysiadła na małej stacyjce węzłowej — i dowiedziała się, że dopiero za cztery godziny może jechać dalej.

Panna Wanda jest szalenie zdenerwowana. Wstaje więc i zaczyna szybko chodzić naokoło stołu. Ach, Boże! Jak ona wytrzyma przez cztery godziny!...

Z tamtej strony drzwi, w restauracji, ktoś także chodzi. Słychać kroki. Szkoda, że tak potulnie dała się stamtąd wyprosić jakiemuś kolejarzowi, że „na czekanie jest poczekalnia".

Kroki w restauracji zbliżają się ku drzwiom. Ale równocześnie panna Wanda odnosi wrażenie, jakby były cichsze. Jakby ktoś się skradał. Znieruchomiała. Robi jej się trochę niemiło.

Ale kroki znów się oddalają. Odetchnęła. Chodzi dalej naokoło stołu. Stara się nie stukać obcasami po kamiennej posadzce Tak tu jakoś pusto, tak ponuro...

Nagle skrzypnęły drzwi od peronu. Wchodzi młody mężczyzna. Uchyla kapelusza:

— Dobry wieczór.

Panna Wanda odpowiada niepewnie:

— Dobry wieczór.

Gość wyciąga papierosy.

— Można zapalić?

— Proszę.

— A może pani pali?

I podsuwa jej otwartą papierośnicę.

— Nie. Dziękuję.

Panna Wanda pali czasem. Nie nałogowo. Teraz nawet ma ochotę. Ale się boi. Tyle nasłuchała się o odurzających papierosach.. Kto wie, co to za jeden, ten pan. Może jaki złodziej?... A może handlarz żywym towarem?....

Panna Wanda obserwuje ukradkiem przybysza, który właśnie zapala papierosa Oczywiście jest młody, dość przystojny, ubrany elegancko... Ten ciemnozielony raglan jest imponujący. Kapelusz też bardzo szykowny. Owszem.

— Nie, to chyba nie żaden opryszek. Wygląda raczej na dyplomatę.

— Pani czeka tu na pociąg?

— Niestety, tak. Na ten, który ma przyjść o pierwszej piętnaście.

— Ach, to cudownie! Bo ja też. No, to mamy dość czasu.

Panna Wanda spogląda na zegarek.

— U mnie jest kwadrans na jedenastą. Ale chyba on się spóźnia. Tak dawno już tu jestem.

Młody człowiek ujmuje bezceremonjalnie jej rękę:

— Jaki śliczny zegareczek! Czy to złoty?

Pannie Wandzie serce zabiło. Oj! A może to jednak złodziej?

Szybko wyrywa mu rękę.

Młody człowiek się śmieje:

— Ale pani nieprzystępna!

I po chwili:

— Ja panią skądś znam. Czy pani kiedy nie bywała w tych stronach?

Panna Wanda zaciekawia się:

— Zna mię pan? Możliwe. Bywam tu często. Nawet wysiadam na tej stacji. Bo dziesięć kilometrów stąd, na wsi, mam krewnych.

I dodaje niby od niechcenia:

— ...właścicieli ziemskich.

— Cekawym kogo? Jak się ci państwo nazywają? Bo ja prawie wszystkich z okolicy znam.

— Grylewscy.

— Ach, państwo Grylewscy! Naturalnie, że znam! On taki zacny, miły człowiek. Lubi dobre winka i wódeczkę. Pani musiała być kiedyś bardzo piękną kobietą. A córka, żywe odbicie swojej mamy.

Panna Wanda ożywia się. Cała jej nieufność znika. Jest jej bardzo miło, że ten pan, to prawie, jak znajomy.

— A dawno ich pan widział? Co tam słychać? Ja już z pół roku u nich nie byłam.

Pan zaczyna opowiadać. Że tydzień temu było u nich polowanie. Że zjechało się wiele osób. Nawet hrabia Bobkowski z synem. Wygląda to tak, jakby chciał syna ożenić z panną Gryglewską, ale ona woli młodego Wisznickiego. To zaraz widać.

← „SWEET-HEART"
MYRNA LOY. — Fot. Polonsky, Hollywood

Panna Wanda jest coraz bardziej ożywiona:

— A skąd pan to wie? Był pan na tem polowaniu?

— Niestety. Nie mogłem. Ale był mój przyjaciel, Żubr. On mi to wszystko, z detalami, opowiadał.

Żubr. Panna Wanda słyszała, że jest sławna, hrabiowska rodzina Żubrów. To pewno z tych. Ach, ci Gryglewscy! Hoho! Dobierają sobie towarzystwo! Pannie Wandzie to imponuje.

Ciotka jej zrobiła karjerę. Wyszła za bogatego ziemianina. A była z domu Powidlanka, córka Wojciecha Powidły, masarza. Tak. Ojciec panny Wandy jest jej bratem. Panna Wanda Powidlanka z zazdrością myślała zawsze o swojej siostrze ciotecznej, Hance Gryglewskiej. Ona gotowa jeszcze jakiego hrabiego złapać...

A może i ten pan jest jakim wielkim arystokratą? Tak, napewno. Zaraz poznać, że to coś lepszego. Jest naprawdę bardzo pięknym i dystyngowanym mężczyzną. Podoba się pannie Wandzie.

I najwidoczniej z wzajemością. Ach, bo patrzy na nią tak dziwnie i mówi:

— Jednak mię wzrok nie myli. Zaraz, jak tylko panią zobaczyłem w tej poczekalni, pomyślałem: „to ta!".

Panna Wanda pyta z bijącem sercem:

— Jakto „ta"?

— Ta, którą widywałem nieraz i zawsze gubiłem ślad. Ale teraz już nie zgubię. Musi mi pani dać swój adres. Koniecznie!

I natychmiast wyciąga z kieszeni karteczkę i ołówek, by zapisać.

Panna Wanda uznaje za stosowne potargować się trochę:

— Ale najpierw pan mi da swój adres. Bo przecie muszę wiedzieć, kto i skąd do mnie napisze.

Robi przytem kokieteryjną minkę.

Młody człowiek kreśli na kartce nazwisko. Potem się zamyśla:

— Nie wiem, jaki mam napisać adres... bo niedługo zmieniam miejsce pobytu. Ale ja go podam listownie.

Panna Wanda zerka na kartkę. Czyta nieznacznie: Br. Glips.

To na niej robi wrażenie. Baron! Więc rzeczywiście. Nie pomyliła się. Baron!

Panna Wanda nigdy nie widziała żadnego barona. Wyobrażała sobie, że baron musi nosić cylinder i monokl. A tymczasem ten nie miał ani jednego, ani drugiego. Ale mimo to, poznać odrazu, że to wielki pan. A on prosi czule:

— Niechże się nareszcie dowiem, jakiem imieniem mam w myśli panią nazywać i skąd się pani zjawiła w tej zakopconej poczekalni?

Och! W tej chwili ta poczekalnia wydaje się pannie Wandzie piękna, jak wytworny salon. Wypisuje swoje nazwisko i t. d. ze wstydliwem wzruszeniem.

Stara się przeniknąć wyraz twarzy barona. Chce wyłapać najmniejszy ślad pogardy, czy rozczarowania z powodu owego nieszczęsnego Powidła. Kuzynka Gryglewskich nie powinna się tak nazywać.

Uśmiecha się kwaśno:

— Zabawne nazwisko „Powidło", prawda? Ale ja jestem z tych lepszych Powidłów, litewskich.

Pod uśmiechem przyczaił się niepokój. Oczy panny Wandy są pełne obawy, usta nie mają ochoty się uśmiechać.

Baron patrzy na nią zagadkowo, a równocześnie wymownie. Bez słowa całuje jej rączkę. Potem karteczkę z adresem wsuwa pod płaszcz. Prawdopodobnie do kieszeni na sercu.

Panna Wanda zapomina o pociągu, który miał nadejść za cztery godziny. Zapomina wogóle o wszystkiem w miłem towarzystwie barona Glipsa.

Nagle na peronie zaczynają bić sygnały. Panna Wanda patrzy przerażona na zegarek:

— Ach Boże! Już po pierwszej! Nie! Ten zegarek spieszy chyba!

Baron się zrywa:

— Coooo?! Już po pierwszej? Och, jakże mi przykro! Muszę panią pożegnać.

Panna Wanda robi przerażone oczy:

— Jakto?! To pan nie jedzie razem ze mną?

— Nie, niestety.

— Przecież pan mówił, że czeka na pociąg!

— Tak, bo nim pociąg przyjdzie, muszę iść do swojego zajęcia.

— ???

— ...Bo ja jestem kelnerem w tutejszej restauracji.

Panna Wanda otwiera szeroko usta, jakby chciała krzyknąć. Ale nie krzyczy. Zaczyna się śmiać histerycznie:

— Hahaha! Pan żartuje!

— Nie, proszę pani. O, dowód, że nie bujam.

Rozpina swój paradny raglan i pokazuje pannie Wandzie serwetkę. Serwetka tkwi w kieszeni czarnego, wyświechtanego ubrania.

Panna Wanda dębieje. A potem porywa ją okropna złość:

— Pan jest zwyczajny oszust! To wszystko było ordynarne cygaństwo! Jak pan śmiał?

On ma twarz pełną godności:

— Pani jest zdenerwowana. W czem ja panią oszukałem? Daję słowo, nie rozumiem.

Panna Wanda jest zupełnie zdezorjentowana. Teraz już nic nie wie. Patrzy chwilę niepewnie na tego człowieka. Wygląda tak, jakby był uczciwy. A może...

Panna Wanda pyta nieśmiało:

— To pan jest baronem — a musi pan w ten sposób pracować na życie? O Boże!

On jest szczerze zdziwiony:

— A kto pani naopowiadał, że ja jestem baron?

Panna Wanda rozdrażnia się coraz więcej:

— No, przecież sam pan napisał przed swojem nazwiskiem „Br.".

Jego głośny śmiech wali w uszy panny Wandy.

— Hahaha! Ohohoho! To nie znaczy „baron", proszę pani, tylko Bronisław. Tak, Bronisław Glips.

Panna Wanda wpada w pasję:

— To już jest bezczelność! Pan sobie ze mnie kpiny robił! Naopowiadał pan o moich krewnych, o polowaniu, o swoim przyjacielu, hrabim Żubrze...

Bronisław Glips informuje ją spokojnie:

— Nie mówiłem, że to jest hrabia. To jest kucharz z tutejszej restauracji. On robił przyjęcie na to polowanie u państwa Gryglewskich. A ja ich też znam, bo tu często zachodzą na obiad, jak są w mieście.

Panna Wanda czuje się tak, jakby jej kto ściągnął pierścionek z brylantem, który dopiero co dostała.

Nie może pogodzić się z faktem:

— Ale podawał się pan za kogo innego! Dlaczego pan tu przyszedł w tym płaszczu, a nie zwyczajnie, z serwetką i w czarnem ubraniu.

Pan Bronisław wyjaśnia jej szczerze:

— Bo tam za bufetem śpi jeden gość. Odstąpiłem mu moją kanapkę. Prosił mię, by mu popilnować płaszcza i kapelusza. Odchodziłem, więc zabrałem ze sobą. A że zimno, to włożyłem.

Panna Wanda już nie panuje nad sobą. Krzyczy:

— To poco pan tu przychodził?!! Mógł pan siedzieć za swoim bufetem!!

— Nudziłem się, bo teraz gości niema. A zobaczyłem panią przez dziurkę od klucza.

I dodaje z czułem spojrzeniem:

— Bo pani mi naprawdę już dawno wpadła w oko.

Panna Wanda nie może już nic na to odpowiedzieć, bo na stację wpada z hałasem pociąg.

Pan Bronisław Glips rzuca się ku niej z pospiesznem pożegnaniem. Nie udaje mu się to. Na dalsze wyjaśnienia brak czasu. Wobec tego wybiega.

A panna Wanda dźwiga swoją walizkę przez słabo oświetlony peron. Oszołomiona, daje się potrącać ludziom, którzy biegają tu i tam. Wchodzi po wysokich schodach do wagonu, łzy kapią jej po policzkach. Panna Wanda jest nieszczęśliwa i upokorzona. Ona kuzynka Gryglewskich, flirtowała przez cztery godziny z kelnerem, jak zwyczajna Powidlanka, wnuczka masarza!

—oOo—

L★A★U★R★N★O★B★L★A

Nagroda Nobla kojarzy się z pojęciem wielkości. Laur tego wyróżnienia przeznaczony jest bowiem tylko dla prawdziwie dumnych skroni. Jest to najwyższe odznaczenie — dowód międzynarodowego uznania, dla najświetniejszych umysłów twórczych.

W myśl statutu do nagrody Nobla mogą być przedstawiani wyłącznie tylko ci kandydaci, którzy wykazać się mogą w swej pracy naukowej istotnie twórczemi pozycjami. Nagrody Nobla nie może otrzymać choćby najuczeńszy komentator — lecz wyłącznie odkrywca, twórca, którego wysiłki stanowią ważny krok na drodze postępu ludzkiego ducha.

Objektywizm przy wysuwaniu kandydatur do nagrody literackiej napotyka na poważniejsze trudności, niż w innych dziedzinach, gdzie sprawdziany ocen są bardziej uchwytne i nadające się do ściślejszej konkretyzacji.

Pisarzom często na przeszkodzie w zdobyciu tego najwyższego lauru staje język, w którym tworzą swe dzieła. Literat piszący po angielsku — a zatem w języku, w którym czyta niemal cały kulturalny świat, posiada nierównie większe szanse, niż pisarz tworzący np. po polsku. Język polski jest prawie nieznany poza granicami Rzeczypospolitej. Tłumaczenie często wypacza myśl utworu — nie oddaje wiernie wszystkich szczegółów, które składają się na artyzm dzieła. Tak np. było z Popiołami genjalnego pisarza Stefana Żeromskiego. „Popioły" przetłumaczone na język angielski straciły na swym indywidualnym, rodzimym wyrazie. Nie znalazły też należytego oddźwięku zagranicą. W tem też należy szukać przyczyny, że do tej pory tylko dwóch Polaków w dziedzinie literatury otrzymało nagrodę Nobla, a mianowicie Sienkiewicz i Reymont. Trzecią nagrodę Nobla dla Polski zdobyła genjalna nasza rodaczka Curie-Skłodowska.



Król szwedzki, Gustaw V, wręcza dyplom nagrody Nobla nowemu laureatowi. Za królem są widoczni: następca tronu ks Gustaw Adolf, oraz księżniczka Sybilla.

Uroczyste wręczanie nagród zgodnie z tradycją odbywa się rokrocznie w dniu 10-go grudnia, jako w rocznicę śmierci Alfreda Nobla. Zgodnie z jego testamentem z dnia 27 listopada 1895 roku instytucjami uprawnionemi do decyzji o przyznaniu nagrody przedstawionym kandydatom — są Szwedzka Akademja Nauk oraz norwegski Storting (parlament). Szwedzka Akademja przyznaje nagrody z zakresu nauk — zaś norwegski Storting rozdziela nagrody pokojowe. Te ostatnie wręczane też są nie w Sztokholmie, lecz w Oslo.

Dzień 10 grudnia jest oficjalnem świętem. W dniu tym król szwedzki w wielkim domu koncertowym w Sztokholmie w asystencji członków domu panującego, przedstawicieli nauki oraz korpusu dyplomatycznego wręcza podczas uroczystego posiedzenia dyplomy, stanowiące widomy znak przyznania nagrody Nobla.

W bieżącym roku w dniu 10 grudnia po raz czterdziesty od dnia ufundowania nagrody Nobla król szwedzki Gustaw V-ty wręczy osobiście sześciu laureatom dyplomy. O ile nie wszyscy z pośród wyróżnionych będą mogli przybyć na ów uroczysty dzień do stolicy Szwecji — dyplomy ich wręczone zostaną przedstawicielom dyplomatycznym odnośnych państw.

Każdy laureat nagrody Nobla przybywający na dzień 10 grudnia do Sztokholmu w celu podjęcia z rąk królewskich zaszczytnego lauru — jest gościem fundacji Nobla. Przybywający do stolicy Szwecji laureatów wita osobiście prezydent Szwedzkiej Akademji Nauk, rektorowie uniwersytetów, przedstawiciele parlamentu, oraz radni miasta Sztokholmu. Koszt przyjazdu, jak również pobyt w Szwecji laureatów pokrywa w całości fundacja Nobla, która rozporządza kapitałem, wynoszącym 33 miljony koron szwedzkich.

O zmroku w dniu 10 grudnia Sztokholm nagle się ożywia. Przed wspaniały gmach pałacu koncertowego zajeżdżają czarne limuzyny, wioząc znakomitych gości. Ostatnia zajeżdża dworska limuzyna ozdobiona w herby królewskie, w której przyjeżdża król Gustaw V. Gmach pałacu koncertowego przyozdobiony jest w tym dniu żałobną czarną chorągwią oraz flagami tych państw, do których przynależą laureaci. Po dwu stronach pałacu płoną potężne znicze.

W wielkiej sali gromadzi się najwytworniejsza publiczność stolicy, przedstawiciele sztuki i świata politycznego, zaproszeni wybitni artyści i uczeni. Na podjum widnieje popiersie Alfreda Nobla, nad którem skrzy-



Sala posiedzeń fundacji Alfreda Nobla, w której odbywają się narady nad przyznaniem nagrody.



Oto jak wyglądają dyplomy fundacji Nobla, oraz ozdobne teczki, w których są przechowywane.



U wejścia do sztokholmskiego Domu Koncertowego, w którym laureaci otrzymują nagrody Nobla, znajduje się ciekawa rzeźba słynnego szwedzkiego artysty, Millesa, przedstawiająca Orfeusza w otoczeniu nimf.

żowano dwa sztandary o szwedzkich barwach narodowych przewiązane krepą.

Pierwszy zabiera glos prezydent sztokholmskiej Akademji Nauk będący również przewodniczącym komitetu nagrody Nobla. W mowie swej prezydent oddaje hołd pamięci wielkiego twórcy fundacji, podnosząc jego wiekopomne zasługi, które stworzyły Akademję, grającą tak wielką rolę w życiu naukowem.

Bezpośrednio po przemówieniu prezydenta Akademji Nauk — laureaci składają w krótkich słowach podziękowanie za zaszczyt, jaki ich spotkał. I wreszcie wśród uroczystej ciszy następuje kulminacyjny punkt uroczystości; król szwedzki podnosi się ze swego miejsca i na podjum wręcza osobiście laureatom dyplomy oraz złote medale. Dla każdego z odznaczonych znajduje monarcha kilka gorących słów uznania.

Po uroczystym wręczeniu dyplomów — następuje druga część uroczystości, a mianowicie wielki galowy bankiet w salach Grandhotelu. Z gmachu koncertowego laureaci Nobla przewiezieni zostają dworskiemi ekwipażami do Grandhotelu — gdzie są gośćmi Fundacji Nobla. W bankiecie tym bierze udział król oraz członkowie domu panującego, korpus dyplomatyczny oraz zaproszeni goście z najwyższych sfer stolicy.

Bankiet otwiera sam król, wygłaszając dłuższe przemówienie. Wszyscy wysłuchują przemowy króla stojąc. Zazwyczaj bankiet przeciąga się do późnych godzin nocnych, przyczem utarła się tradycja, że król szwedzki nie opuszcza sali jako pierwszy.

Następnego dnia laureaci zwiedzają zwykle miasto, a wieczorem rozpoczynają rozjeżdżać się do swych krajów — wywożąc pamięć o jedynem w swem rodzaju przeżyciu oraz... czek na 153 tysiące koron szwedzkich.

Nagroda Nobla jest nietylko najwyższem wyróżnieniem, ale i nagrodą w materjalnym sensie. Czek na 153 tysiące koron — innemi słowy na 65 tysięcy dolarów, jest sumą, która w wielu wypadkach zdjąć może z głowy szczęsnego laureata troskę o byt. Nie wszyscy bowiem laureaci opływają w dostatek. Większość ich rekrutuje się z ludzi bardzo skromnie sytuowanych. Profesor uniwersytetu, pisarz, czy uczony prywatny, tylko w bardzo rzadkich wypadkach dochodzi do majątku. Przeważnie owe 65 tysięcy dolarów stanowią bardzo wydatną pomoc, a w porównaniu z finansowemi zasobami niejednego laureata kwota ta jest równoznaczną z prawdziwą fortuną...

* * *

W roku bieżącym przyznanie pokojowej nagrody Nobla znanemu pacyfiście niemieckiemu Karolowi v. Ossietzky stało się światową sensacją. Mianowicie na wiadomość o przyznaniu Ossietzkiemu nagrody Nobla minister spraw zagranicznych Rzeszy v. Neurath polecił telegraficznie posłowi niemieckiemu w Oslo wyrazić najwyższe zdziwienie rządu Rzeszy odnośnie do uchwały komitetu Stortingu przyznającej nagrodę pokojową Nobla K. v. Ossietzkiemu.

Tego rodzaju interwencja rządu, który zaprotestował przeciw przyznaniu nagrody



Wręczanie nagród Nobla odbywa się z wielką pompą w sali sztokholmskiego Domu Koncertowego w obecności króla i członków rządu. Zdjęcie przedstawia chwilę, kiedy prezes Fundacji Nobla przemawia do zebranych.

swemu własnemu obywatelowi — w czterdziestoletniej historji fundacji Nobla zdarzyła się po raz pierwszy — budząc zrozumiałą sensację.

Pomijając merertoryczną stronę tej sensacji — stwierdzić należy, że ostatecznie rząd niemiecki stanął na rozsądnym stanowisku i zezwolił Ossietzkiemu na wyjazd do Oslo celem podjęcia nagrody. Ze swej strony Ossietzky w wywiadzie udzielonym przedstawicielom prasy zaznaczył, że „był i jest nadal szczerym Niemcem i nigdy nie było jego intencją szkodzić swej ojczyźnie". W ten sposób zatarg pomiędzy rządem Rzeszy a zaprzyjaźnionym z Niemcami rządem norwegskim został złagodzony — Ossietzky zaś będzie miał możność podjęcia swej nagrody, która zapewne bardzo mu się przyda.

G. S. (Sztokholm).

FILM KOLOROWY dostępny dla każdego

Jest wielu ludzi, którzy twierdzą, że wolą film obecny, czarno-biały od filmu kolorowego. Może mają po części rację, bo filmy kolorowe, znane dotychczas, były coprawda kolorowe, ale nie miały barw naturalnych. Wyglądały zbytnio cukierkowo, zanadto przypominały tanie pocztówki, a za mało były wiernym obrazem życia. Z drugiej jednak strony przypomijmy sobie, że jak długo film dźwiękowy był jeszcze nieznany, nieomal ogólnie sądzono, że film się skończy, gdy przestanie być niemy. A jednak stało się zupełnie inaczej. Któż dzisiaj tęskni jeszcze za filmem niemym? Olbrzymia większość bywalców filmowych nie może sobie wyobrazić dzisiaj już filmu niemego i nie może zrozumieć faktu, że tak długo można było obejść się bez filmu dźwiękowego. I tu właśnie jesteśmy u sedna rzeczy. Jak długo niema jeszcze dobrego filmu w barwach naturalnych, tak długo nikt nie pragnie zmiany tego, co mamy obecnie. Skoro jednak przyjdzie chwila, a taka chwila prędzej czy później nadejść musi, że film barwny zostanie udoskonalony, będzie się on nam niewątpliwie lepiej podobał, aniżeli obecny czarno-biały.

Nie brak wynalazków na temat filmu kolorowego i można powiedzieć, że jest to temat ulubiony przez wynalazców. Teoretycznie sprawa nie jest zbyt trudna, ale w praktyce wygląda rzecz o wiele gorzej. Podstawą wszyskich projektów filmu kolorowego jest zasada trójbarwności, wypowiedziana w r. 1868 przez fizyków francuskich, Karola Crossa i Ludwika Ducos du Hauron. Zasada ta brzmi, że mieszanie lub nałożenie na siebie trzech barw odpowiednio dobranych zpośród barw widma słonecznego, pozwala otrzymać barwę białą. Barwy te nazywamy zasadniczemi. Takiemi zasadniczemi barwami są: barwa niebieska, czerwona i żółta. Wiemy, że w naturze niema prawie nigdy czystych barw, tylko są ich mieszaniny. Fioletowa jest mieszaniną czerwonej i niebieskiej, zielona jest mieszaniną żółtej i niebieskiej. Otóż pierwszy sposób zrobienia fotografji wzgl. filmu kolorowego to t. zw. sposób „addytywny", tak nazwany, gdyż białą barwę otrzymuje się tu przez dodawanie a raczej współdziałanie barw zasadniczych, niebieskiej, żółtej i czerwonej. Druga metoda to metoda „subtraktywna", „odejmująca", czyli polegająca na odejmowaniu poszczególnych barw z białej, będącej ich mieszaniną. W tym wypadku poszczególne barwy powstają z barwy białej przez odejmowanie od niej jednej lub więcej barw zasadniczych. Wygląda to dość skomplikowanie, w rzeczywistości jednak obie metody zrozumiemy dość łatwo na poniższych przykładach.

Jeżeli chcemy wykonać zdjęcie, jakiegoś

NA POGRANICZU JESIENI I ZIMY...

Fot. E. Hase (Schostal)



kolorowego objektu, możemy to uczynić w ten sposób, że zdejmujemy go przez 3 filtry. Filtry te to np. szybki kolorowe, czerwone, niebieskie i zielone (najczęściej bierze się zielone zamiast żółtej). Szybka czerwona przepuszcza tylko czerwone promienie światła, inne zaś pochłania. Podobnie ma się rzecz z filtrem niebieskim i zielonym. Jeżeli barwa jakiegoś przedmiotu jest mieszaniną barw zasadniczych, np. gdy mamy sfotografować kapelusz w kolorze fiołkowym, to wtedy światło idące od tego przedmiotu przechodzi swoim składnikiem czerwonym przez filtr czerwony a przez filtr niebieski odpowiednio do zawartości promieni niebieskich. Natomiast nie przechodzą promienie światła niebieskiego przez filtr żółty. To światło, które przedostało się przez filtr działa na płytę fotograficzną, tak, jak światło białe, powodując czernienie płyty w odpowiedniem miejscu.

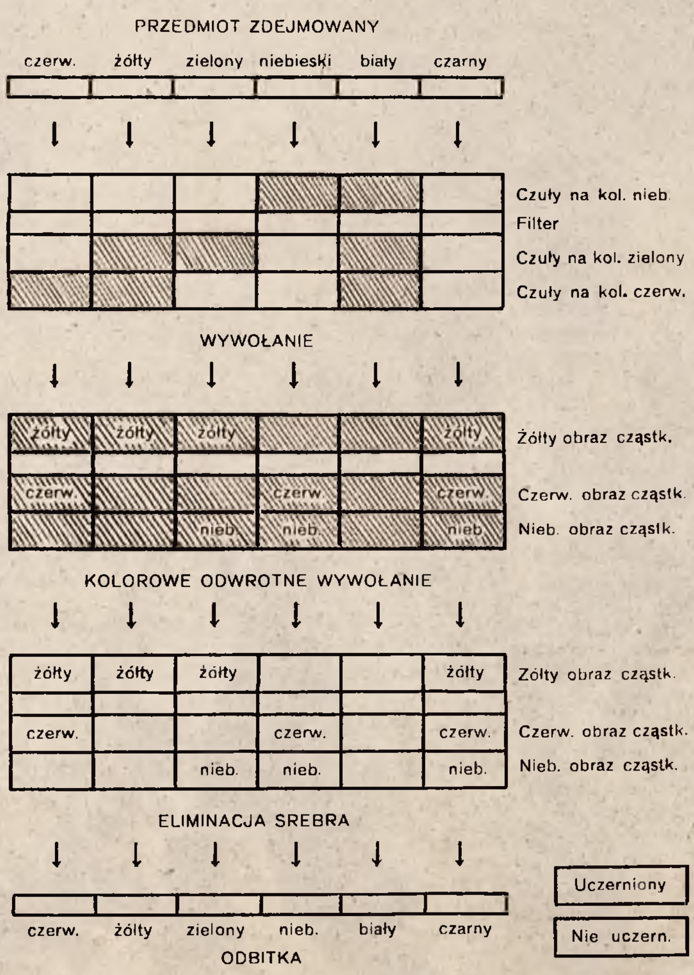
Dzisiaj jednak pracuje się metodą „addytywną" w sposób ulepszony. Nie mamy tu osobnych szkiełek w 3 kolorach zasadniczych, tylko warstwa światłoczuła na filmie lub płycie fotograficznej posiada obok siebie ziarenka wzgl. kuleczki przejrzyste w trzech zasadniczych kolorach, ale tak drobne, że ich gołem okiem rozróżnić nie można. Kuleczki te są tak rozmieszczone na płycie fotograficznej, że praktycznie w każdem miejscu znajdują się kulki we wszystkich 3 barwach. Mieszane bywają przeważnie w takim stosunku, że na 100 zielonych ziarnek wypada 75 czerwonych i 85 niebieskich. Ziarna te mają około 0.01 do 0.02 mm średnicy. Dopiero pod temi ziarenkami znajduje się emulsja światłoczuła bromku srebra. — Ziarenka kolorowe działają zupełnie podobnie, jak filtry opisane wyżej. Płyta zostaje zaczerniona pod działaniem światła, idącego od jakiegoś czerwonego przedmiotu tylko poza czerwonemi kulkami, gdyż tylko te czerwone ziarenka przepuszczają to światło. W tem miejscu więc, gdzie na płycie ma powstać obraz chustki czerwonej, tylko ziarna czerwone przepuszczają promienie i powodują czernienie. To samo dzieje się gdzieindziej znowu, na płycie, gdzie powstaje obraz zielonej trawy. Tu tylko ziarna zielone przepuszczają światło i powodują czernienie. Biała barwa natomiast powoduje czernienie pod wszystkiemi 3 rodzajami ziaren. Unika się zatem 3 zdjęć przez 3 filtry i wystarczy tylko 1 zdjęcie, gdyż i przy jednem zdjęciu mamy na warstwie światłoczułej miejsca naświetlone i nienaświetlone, stosownie do wartości kolorowej promieni, wydobywających się z różnych miejsc fotografowanego objektu.

Jeżeli taką płytę wywołujemy, to tylko miejsca naświetlone czernią się, a więc w powyższym przykładzie punkty pod czerwonemi ziarenkami na miejscu odpowiadającem czerwonej chustce, punkty pod zielonemi ziarnami w miejscu odpowiadającem trawie. Płyty nie utrwalamy tylko rozpuszczamy czarną warstwę srebra w kąpieli np. nadmanganianu potasowego, wskutek czego w miejscach przedtem zaczernionych powstają teraz przeźroczyste kolorowe plamy. Naświetlamy teraz całą płytę światłem dziennem. Powoduje to zczernienie miejsc przedtem nienaświetlonych, do których przy pierwszem zdjęciu światło nie doszło przez kolorowe ziarna. Wkładamy teraz płytę do utrwalacza i zaczernienie to utrwalamy. — W ten sposób otrzymaliśmy diapozytyw. który jest już obrazem kolorowym i to w barwach naturalnych. W miejscach, odpowiadających punktom czerwonym zaczernienie zostało usunięte pod punktami czerwonymi a w miejscach, odpowiadających punktom zielonym przedmiotu czernienie zostało usunięte pod ziarnami zielonemi, które stały się przez to widoczne. Taki diapozytyw można prześwietlić i projektować na ekran. Gdy więc używamy odpowiedniej taśmy filmowej możemy w ten sposób otrzymać na ekranie „żywe obrazy" w barwach naturalnych.

Według tego systemu pracują liczne wytwórnie filmów kolorowych. Posiada on jednak znaczne wady, gdyż przy użyciu filtrów kolorowych jest bardzo skomplikowany, zaś nawet przy ulepszonym systemie ziarenek kolorowych wymaga przy wyświetlaniu lampy projekcyjnej o 7-miokrotnie większej jasności w porównaniu z filmem zwyczajnym.

System filmu kolorowego na zasadzie „substrakcyjnej" jest pod tym względem daleko lepszy, gdyż wystarczy tu taka sama lampa projekcyjna, jak przy zwyczajnym filmie. W systemie tym, jak sama nazwa wskazuje, film gotowy jest tak zakolorowany, że daje obrazy o tem zabarwieniu, jakie pozostaje, po odejmowaniu od światła białego pewnych określonych kolorów. W tym wypadku więc widać, że w miejscach, które mają na ekranie wypaść biało, film będzie zupełnie bezbarwny, gdyż żadnego koloru się od niego nie odejmuje, podczas gdy w systemie „addytywnym" barwa biała powstawała z dodawania trzech zasadniczych kolorów, które jednak nigdy nie były dość jasne. Dlatego właśnie film substraktywny wymaga o wiele mniej światła.

Ostatnio wprowadzono, tak znakomite ulepszenia do budowy filmu „subtraktywnego", że stal się on dostępny dla każdego. Na błonie filmowej znajdują się tu również ziarenka kolorowe, ale różnokolorowe ziarna nie są umieszczone obok siebie jak przy systemie „addytywnym", tylko znajdują sie ponad sobą w trzech warstwach. Najnowszy film tego systemu jest tak zbudowany, że najwyższa warstwa zewnętrzna jest wrażliwa tylko na kolor niebieski, pod nią znajduje się t. zw. filtr żółty, który promieni niebieskich nie przepuszcza, następnie znajduje się warstwa druga, czuła na światło zielone a pod nią warstwa czuła na światło czerwone. Każda z tych warstw zawiera emulsję żelatynową z bromku srebra, jak zwykła płyta fotograficzna, tylko z pewnym dodatkiem, o którym niżej będzie mowa.



Działanie poszczególnych barw na film odbywa się zasadniczo zupełnie podobnie, jak wyżej opisano. A więc przy wywoływaniu powstaje zaczernienie zewnętrznej warstwy filmu w tych miejscach, na które przy fotografowaniu padały promienie niebieskie. Te promienie nie wywarły więc żadnego skutku na warstwę środkową i dolną, które w danych miejscach pozostają bez zmiany jako nienaświetlone. Przeciwnie znów warstwa czuła na światło czerwone a więc dolna, zaczerni się tylko w tych miejscach, na które padły przy fotografowaniu promienie czerwone, wydobywające się z przedmiotu fotografowanego, które to promienie pozostawiły bez zmian warstwy zewnętrzne górne filmu, będące dla tych promieni zupełnie przepuszczalne.

Teraz dopiero następuje charakterystyczny dla tego systemu w najnowszej jego postaci, proces. Jest to tzw. wywoływanie odwrotne. Polega ono na tem że się film po pierwszem wywoływaniu daje do kąpieli, a wtedy następuje wydzielenie srebra metalicznego, czyli zaczernienie w tych miejscach, które przy pierwszem wywoływaniu, jako nienaświetlone, pozostały bez zmian.

Wywoływanie to jest jednak przez to bardzo ciekawe, że podczas jego przebiegu tworzy się w tych miejscach filmu, w których obecnie metaliczne srebro się wydziela, pewien charakterystyczny kolor. Kolor ten jest zawsze uzupełniający wobec koloru, na który dana warstwa była wrażliwa. A więc w warstwie czułej na światło niebieskie powstaje teraz w miejscach nienaświetlonych kolor żółty, który jest tzw. kolorem uzupełniającym do barwy niebieskiej. Żółty kolor pozostaje bowiem po odjęciu od światła białego składników niebieskich. W warstwie czułej na światło zielone powstaje teraz w miejscach nienaświetlonych kolor czerwony jako uzupełniający. W warstwie dolnej czułej na światło czerwone, powstaje przy t. zw. odwrotnem wywoływaniu kolor niebieski w tychże nienaświetlonych miejscach. Tajemnica powstawania tych uzupełniających kolorów polega na pewnym chemicznym procesie. Każda warstwa zawiera bowiem prócz żelatynowej emulsji z bromkiem srebra, jeszcze dodatek pewnego składnika, który ze składnikiem drugim, zawartym w wywoływaczu, odwracającym, tworzy ów barwik w kolorze uzupełniającym, ale tylko w tych miejscach, w których przy tem odwrotnem wywoływaniu powstaje metaliczne srebro.

Mamy więc teraz na filmie stan następujący: cały film jest zaczerniony. Ale w miejscach poszczególnych warstw, które nie były przy fotografowaniu naświetlone (bo w danych miejscach przedmiot fotografowany nie posiadał składników koloru, na który dana warstwa jest czuła), jest prócz zaczernienia jeszcze zabarwienie na kolor uzupełniający. Teraz dopiero utrwalamy film i usuwamy z niego srebro, powodujące zaczernienie. Pozostaje nam film-pozytyw, prześwietlający o trzech warstwach. W każdej warstwie mamy miejsca zupełnie bezbarwne i miejsca zakolorowane: na kolor żółty (pierwsza warstwa), na kolor czerwony (druga warstwa) i na kolor niebieski (trzecia warstwa).

Pierwsza warstwa, która była wrażliwa na barwę czerwoną, da-

je nam więc składnik żółty obrazu, właśnie w tych miejscach, w których przedmiot nie posiadał koloru czerwonego, tylko barwę uzupełniającą, czyli żółtą. Warstwa środkowa ma miejsca zabarwione na czerwono tam, gdzie przedmiot nie posiadał składników zielonych, na które dana warstwa była wrażliwa itd.

Otrzymujemy więc pozytyw już odrazu w kolorach naturalnych, który można wyświetlić w zwyczajnym aparacie projekcyjnym bez żadnych przeróbek tego aparatu a nawet bez wzmocnienia lampy. Jakkolwiek opis działania nowego systemu fotografji w barwach naturalnych jest może trochę skomplikowany, to jednak wszelkie manipulacje są podobno bardzo łatwe, i zwyczajnym aparatem filmowym (na razie jeszcze tylko na wąskiej taśmie filmowej 16-milimetrowej), każdy może poczynić zdjęcia fotograficzne i wyświetlać je w barwach naturalnych. — Trzeba tylko użyć nowej taśmy filmowej, która podobno kosztuje o 30 proc. więcej, aniżeli zwykła do filmu czarno-białego. — Chwilowo wynalazek ten nadaje się tylko dla amatorów, gdyż niema jeszcze możności tworzenia tanich kopij z takiego filmu. Na razie firma, która ten nowy system wprowadziła, przyjmuje filmy do wywoływania, później mają wywoływacze być dostępne dla każdego amatora. Wynalazek ten jest naprawdę interesujący i piękny, kwestja tylko, w jakiej mierze barwiki powstające na filmie wskutek dość zawiłego procesu chemicznego, oddają wiernie barwy przedmiotów.

Inż. J. A.



Sława Bestani i Kazimierz Dembowski w »Trafice pani generałowej« granej w Krakowie jako komedja muzyczna przez operetkę wileńską. *Fot. „AS"*

artystki na cenzurowanem:

SŁAWA BESTANI

Opera warszawska rozpoczęła tegoroczny sezon pod znakiem nowych sił śpiewaczych, które przeszły na scenę Teatru Wielkiego wprost z... operetki. O Janinie Kulczyckiej, do niedawna primadonnie teatru „Widowisko" przy ul. Karowej, pisaliśmy ostatnio w związku z jej rychłym występem w „Madame Dubarry". Dziś zapoznamy Czytelników z osobą drugiej śpiewaczki — Sławą Bestani. — Młoda ta artystka, występująca w operze od początku sezonu, zwróciła na siebie uwagę zarówno publiczności, jak i krytyki, podnoszącej walory dobrze postawionego głosu, oryginalną interpretację ról, jak niemniej bardzo wdzięczną aparycję.

— Chętnie podzielę się mojemi przeżyciami z Czytelnikami „Asa" — rozpoczęła rozmowę p. Bestani. — Pierwszy mój występ na deskach stołecznej opery odbył się w „Dzwonach z Kornewilu". Brak mi wprost słów na wypowiedzenie tego, co wówczas przeżyłam. Chwile niezapomnianej radości zawdzięczam szczeremu uznaniu przełożonych, kolegów i publiczności, która nie szczędziła mi oklasków. Sam dyr. Mazaraki serdecznie mi gratulował. W takiej atmosferze przeszłam chrzest w stołecznej operze — ku pełnemu zadowoleniu wszystkich, a mojemu przedewszystkiem.

— Do tych występów przygotowywałam się w pełni zrozumienia odpowiedzialności, jaka zaciąży na mnie z chwilą wstąpienia na scenę Teatru Wielkiego w Warszawie. Wakacje spędziłam w Szczawnicy na wypoczynku i nabieraniu sił do pracy. Przerwa ta wpłynęła niezwykle dodatnio na mój głos, który bardzo jej potrzebował po intensywnym sezonie w Wilnie, a potem w czasie lata występach gościnnych w Krakowie. Do Warszawy jechałam z radością, gdyż od dawna już marzyłam o pracy w operze. Zastałam tu stosunki niezwykle sympatyczne. W przyjaznej atmosferze praca moja układa się jak najpomyślniej na przyszłość. — Obecnie „idą" próby z „Cyganerji" Pucciniego. Potem wejdzie na afisz „Rigoletto". Mam już wyznaczone role, które bardzo mi odpowiadają, zarówno głosowo, jak i aktorsko.

— Zapytuje mnie pan, jak brzmi mój oficjalny tytuł w zespole śpiewaczym Opery... Przyznam się, że bardzo małą wagę przywiązuję do wszelkich tytułów. — Uważam bowiem, że najlepszym „tytułem" dla śpiewaczki jest jej głos, powodzenie u publiczności, no i... przychylna krytyka. Tytuł mój brzmi bardzo poważnie — proszę posłuchać: I-szy sopran Opery i Operetki Warszawskiej. Otrzymawszy go, staram się i nadal starać się będę, aby dyrekcja nie zawiodła się na mnie.



Sława Bestani w operetce Kalmanna »Hrabina Maritza«. *Fot. „AS".*

— Bardzo miło wspominam moje występy w Krakowie. Rola Gerti w „Trafice pani generałowej", o której ujęciu sprawozdawca „I. K. C." napisał tak piękną recenzję, odrazu przypadła mi do gustu i może dlatego zagrałam ją z właściwem wyczuciem charakterystyki kreowanej postaci. Początkowo bałam się przyjąć tę rolę, ale reżyser Wyrwicz-Wichrowski umiał mnie zachęcić, no i... udało się! Rzecz ciekawa, że właśnie ta rola nasunęła mi myśl o występie w filmie. Jak narazie jednak nie udało mi się nawiązać kontaktu z „ludźmi filmu"...

Słuchając opowiadania artystki, wpatrujemy się w jej fotografje, których kilka stoi w stylowym salonie. Rzecz doprawdy dziwna, że dotąd film nie zainteresował się bliżej tą wybitnie fotogeniczną twarzą.

— Co mnie skłoniło do wstąpienia na drogę artystyczną?... — powtarza nasze pytanie artystka, jakby w zamyśleniu. — Nie zdaję sobie dokładnie z tego sprawy. Być może, że zadecydował tu wpływ mego ojca, który był muzykiem. Wychowywałam się we Lwowie, gdzie po skończeniu szkół, wstąpiłam do klasy śpiewu Konserwatorjum, studjując u prof. H. Oleskiej, Bedlicza, a ostatnio u prof. Cz. Zaremby. Debiutowałam w r. 1933 we Lwowie w operze Mozarta „Uprowadzenie z Seraju". Bezpośrednio potem wyjechałam do Warszawy, zaangażowana przez „Wielką Rewję". Epizodyczne ówczesne występy moje w Operze, które zawdzięczam dyr. Dołżyckiemu, nie dały mi zadowolenie i może dlatego zdecydowałam się przyjąć engagement do operetki wileńskiej. Pobyt w Wilnie wspominam jak najmilej. Dał mi on bowiem sposobność do pełnego artystycznego wypowiedzenia się na scenie. Mimo to muszę niestety zaprzeczyć wiadomościom, jakobym się obecnie tam wybierała na gościnne występy. Praca moja bowiem w Operze Warszawskiej pochłania cały mój czas i wątpię bardzo, by mi danem było spocząć choć na chwilę.

Przy tych słowach pani Sława spojrzała na zegarek i z przerażeniem skonstatowała, że godzina próby w teatrze już nadeszła. Nie namyślając się długo włożyła futro na siebie i chwyciwszy mnie za rękę, zbiegła po schodach na ulicę.

— Proszę się na mnie nie gniewać za takie zakończenie wizyty, ale gdyby pan był w teatrze, to wówczas napewnoby pan zrozumiał mój pośpiech. Punktualność bowiem u artysty idzie na wagę złota...

Gerjot.

»Strzałą« • przez • śnieżną • pustynię

Czyż może być coś piękniejszego nad narciarski zjazd? Chwila namysłu nad śnieżną stromizną i... ruszamy pędem w dolinę.

Daleki teren, który przed chwilą migotał przed nami w dole, zbliża się ku nam w zawrotnym pędzie. W uszach śwista wiatr, a przed oczyma przesuwają się w zimowej zadumie stojące drzewa i krzewy. Zresztą nie mamy nawet czasu na zastanawianie się nad tymi cudami przyrody. Pęd oszałamia nas i zmusza do surowej kontroli usuwającego się nam wprost z pod nóg terenu. Jakżeż łatwo nie dojrzeć kamienia, czy korzenia, wystającego z pod śniegu i zkoziołkować po zamarzniętym lodzie w dół. Nie! Taka jazda na plecach, głowie, a nawet, jak to mówią „na brwiach" nie stanowi już rozkoszy.

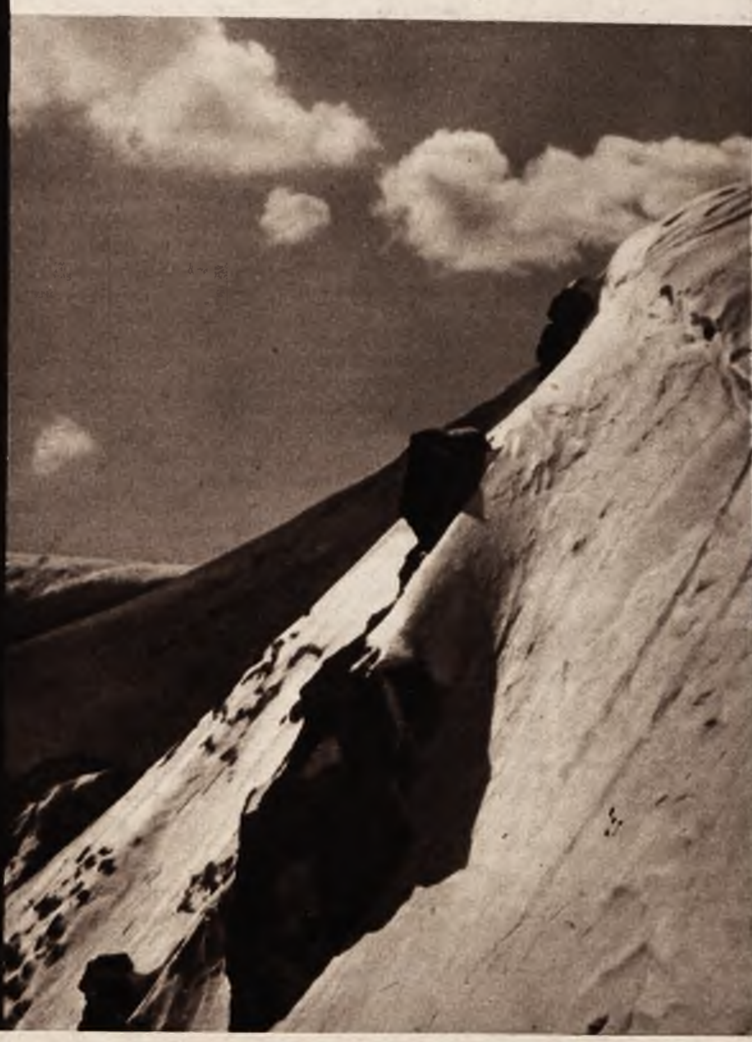
A jednak zjazd narciarski jest tą częścią królewskiego sportu, która najwięcej kusi i nęci. Pociąga zarówno starych wyjadaczy, jak i początkujących narciarzy. Tylko, że ci ostatni zwykle zapominają, iż niejednokrotnie narty zdradzają niedwuznaczną ochotę udania się tam, gdzie właśnie nasze nogi nie miały zamiaru pojechać.

Cóż więc robić? Poprostu nauczyć się! Tylko, że zwykle to jakoś większość narciarzy nie ma ochoty do nauki. Wstępne ćwiczenia wydają się takie nudne i nieciekawe! To ustawiczne przemierzanie jednego odcinka wyznaczonego przez instruktora, te powtarzane w nieskończoność ćwiczenia, są tak przecież nużące! Ale zbawienność tych nudnych, zdawałoby się, rad, odnajdujemy dopiero wtedy, gdy słabo wyćwiczona „christjania" sprawi nam zawód w terenie i zapozna z twardością podłoża. Tylko, że wtedy jest już grubo zapóźno!

Z pośród wielu klubów, uprawiających narciarstwo, wiele jest takich, które zagadnieniom narciarstwa zjazdowego poświęciło specjalną uwagę. Organizują się kursy i obozy; są nawet szkoły narciarstwa, w których główną rolę odgrywa technika zjazdowa. Jedna z nich znajduje się na najbardziej „narciarskim" szczycie Tatr — na Kasprowym.

Udając się w góry, trzeba zawsze o tem pamiętać, że ten zaklęty i zaczarowany świat kryje w sobie mnóstwo niebezpieczeństw. Ale suma tych niebezpieczeństw maleje, jeśli nauczyliśmy się dobrze panować nad nartami. Wtedy dopiero odczuwamy w całej pełni rozkosz narciarskiego zjazdu!

Poniżej: Na zalanych słońcem stokach...
Fot. Andrzej Progulski — Lwów.





„Christjania" przy stromym zjeździe należy do najtrudniejszych ewolucyj narciarskich... Fot. H. Gorny (Schostal).



Zasłużony odpoczynek w narciarskiej wędrówce...
Fot. Andrzej Progulski — Lwów.



Wspaniały widok, który zachwycić musi każdego sportsmena...
Fot. Andrzej Progulski, Lwów.

Na prawo w kole: Oko narciarza, uzbrojone w teleobjektyw...
Fot. Andrzej Progulski Lwów.





Na lewo: „Strzała" przez ośnieżony stok...
Fot. inż. B. Solak — Lwów.

HALO! HALO! CZY MÓWI SIĘ DALEJ?

— Jak się pan miewa, panie Henryku?...
— Dziękuję — właśnie spotkałem na ulicy Świętego Mikołaja...
— I co podarował panu?
— Nic — prosił mnie o pożyczenie stu złotych, bo musi wykupić z cła podarki... Jest w ciężkich tarapatach... Jeździł do Warszawy po pozwolenie przywozu... Miał też nieprzyjemności z władzami...
— Jakie nieprzyjemności...
— No, bo przyniósł pisma obrazkowe dla dzieci, a tymczasem okazało się, że pozwolenie przywozu jest nieważne...
— Aha... a cośmy dostali na świętego Mikołaja...
— Od Francji dostaliśmy dwa miljardy...
— A co słychać w Berlinie?
— W Niemczech jest teraz sezon polski. Grają „Halkę" — wystawili operetkę „Polską krew" — Parnell odnosi sukcesy...
— To świetne... a w Paryżu?...
— Tam też „polska krew" ma powodzenie; sprzedaje się ją do Hiszpanji...
— To okropne...
— Francja i Sowiety wysyłają ciągle ochotników do Barcelony. Wojna w Hiszpanji staje się coraz bardziej międzynarodowa. To taka wojna pod egidą „Ligi Narodów"!...
— A co Liga Narodów na to wszystko?
— Właśnie lada dzień ma się zebrać — celem ustalenia, kto jest napastnikiem w tej wojnie — czy Sowiety, czy Niemcy... Ale są też ciekawe nowiny polityczne. Tworzy się wielki blok antykomunistyczny — Niemiec, Włoch, Japonji, Węgier i Austrji. Regent Horthy był teraz entuzjastycznie witany we Włoszech...
— A więc wizyty dyplomatyczne w modzie?
— O tak — król rumuński Karol przybędzie do Polski. Pani ministrowa spraw zagranicznych wróciła właśnie z Londynu. Poza tem podejmowano tam belgijskiego premjera. Jednem słowem — Europa prowadzi „dom otwarty"...
— I co z tego wyniknie?...
— Prawdopodobnie ta cała turystyka indywidualna doprowadzi do turystyki masowej...
— Jakto masowej?
— A no, masy wojsk z jednego kraju będą jeździć w odwiedziny do drugiego kraju...
— Pozatem Anglja ma nowy kłopot śródziemnomorski?
— Dlaczego śródziemnomorski?
— Król Edward chce się żenić z panią Simpson, z którą niedawno podróżował po Morzu Śródziemnem. Chce się wyrzec dla niej tronu. A najbardziej oburzeni są na króla Szkoci.
— Dlaczego właśnie Szkoci?
— No, bo trzebaby na koronację sprawiać aż dwie korony.
— A propos dyplomacji; co słychać w sporcie?
— Kraków przegrał mecz z Berlinem... okazało się, że nasza bramka — to jak Pomorze — Niemcy mogli sobie swobodnie przez nią przechodzić...
— A co słychać na uniwersytetach?
— Oblewano studentów...
— Przy egzaminach?
— Nie... w czasie blokady... Podobno też przyłapano na terenie uniwersytetu osobników, którzy nigdy nic wspólnego nie mieli z uniwersytetem...
— Kto to mógł być?...
— Podobno jacyś byli ministrowie oświaty...
— A są jakie nowiny ze świata filmowego?
— Pamięta pani — Mary Pickford — tę „sweetheart"?
— Co to znaczy, to angielskie słowo?
— No, taka słodka dziewczyna, taka rozkoszna dziewczyna — jednem słowem, taka amerykańska Matusiakówna...
— Więc co się z nią stało?
— Wychodzi zamąż za Charlesa Roggersa — tego aktora filmowego, zwanego popularnie Buddym...
— I jak długo będzie trwało to małżeństwo?...
— No, jak to bywa w świecie filmowym...
„Trzy minuty — czy mówi się dalej?...

MIKROFON.



Regent Węgier, admirał Horthy (po lewej) przejeżdża w towarzystwie króla Wiktora Emanuela III. ulicami Rzymu podczas ostatniej oficjalnej swej wizyty w stolicy Włoch. Fot. Trampus — Paryż.



Angielski minister spraw zagranicznych, Lord Eden, zastanawia się nad odpowiedzią, której ma udzielić ambasadorowi belgijskiemu w Londynie podczas przyjęcia, wydanego na cześć belgijskiego prezydenta ministrów van Zeelanda. Fot. New York Times — Londyn.

Poniżej: Berliński „Teatr Schillera" wystawił ostatnio słynną ongiś operetkę Nedbala „Polska Krew". Na zdjęciu Grell Theimer i Jan Heesters w jednej ze scen operetki Fot. Keystone — Berlin.



Poniżej: Słynna gwiazda filmowa Mary Pickford po rozwodzie z Douglasem Fairbanksem zaręczyła się ostatnio z znanym amantem filmowym Charlesem Rogersem. Fot. New York Times — Londyn.



PO BUDAPESZTEŃSKIEJ PREMJERZE „NIEBOSKIEJ KOMEDJI"



W kole: Zygmunt Krasiński (1812-1859).

Poniżej: „Nieboska Komedja" na scenie Narodowego Teatru w Budapeszcie. — Pokój hrabiego Henryka.
Fot M. Pál Budapeszt



W swej monografji „Zygmunt Krasiński, życie i twórczość lat młodych", wydanej w r. 1904, mówi Kallenbach o zamiarach przetłumaczenia Nieboskiej Komedji na język francuski tuż po jej ukazaniu się drukiem w r. 1835. Jednocześnie zaznaczył, że gdyby wówczas przetłumaczono „Nieboską Komedję", zyskałaby ona rozgłos ogólnoświatowy. Tymczasem aktualizm „Nieboskiej" rósł, wbrew zwyczajnemu biegowi rzeczy wraz z oddalaniem się od daty jej napisania, od roku 1883. Dla samej krytyki polskiej zyskuje ona na pełnem znaczeniu, pomimo pochlebnych i głębokich ocen Mickiewicza, dopiero po roku 1848, po pierwszej zapowiedzi wypadków, które wkrótce zajść mają. Aktualizm jej wzrasta w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecie po wybuchu paryskiej komuny i późniejszym rozwoju prądów socjalistycznych i komunistycznych. Krakowskie jej wznowienie teatralne w latach wojennych okazuje coraz pełniejszy aktualizm poruszanych zagadnień. Jeszcze jaskrawiej występuje on z racji obu premjer (w Teatrze Polskim, i w teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego). U nas wspominano wielokrotnie o możliwościach „pchnięcia" tego dramatu na sceny zagraniczne. Zwłaszcza po jej spontanicznym wystawieniu w Z. S. S. R. w odpowiednio spreparowanej szacie. Poza temi jednak platonicznemi życzeniami nie czyniono większych wysiłków w tym względzie. Jedyna poważna inicjatywa śp. Tadeusza Rittnera, znana nam już z prasy codziennej, wydała po latach owoce inscenizacji wiedeńskiej „Nieboskiej". Fr. Th. Csokor dokonał wydanej już drukiem przeróbki, a raczej wolnego przekładu dramatu, a dzięki życzliwemu poparciu dyrektora Hermana Röbbelinga w Wiedniu doszły te przedstawienia do skutku ku wielkiej chwale naszego Wieszcza. Powstaje teraz pytanie, czy to tak udane przedstawienie w obu stolicach o tak świetnych tradycjach teatralnych, może być ową bramą wypadową na zachód Europy? Niewątpliwie przeróbka Csokora, dokonana z wielkim poczuciem możliwości sceny, a jednocześnie z pietyzmem dla genjalnego oryginału, nadaje się świetnie do realizacji w Paryżu, Londynie, Berlinie i in-

Poniżej: Widmo kobiety, nawiedzające Orcia podczas choroby; postać po raz pierwszy wprowadzona przez scenę budapeszteńską.





Wnętrze grobowca rodzinnego (dekoracja budapeszteńska).
Fot. M. Pál — Budapeszt



Na lewo: Salon w inscenizacji Drabika — Teatr im. Bogusławskiego w Warszawie. (Solska i Adwentowicz).

nych stolicach kultury zachodnio-europejskiej.

„Nieboska" jednak ma z drugiej strony szereg momentów niewygasającego aktualizmu, który w każdem państwie w dzisiejszych czasach ma inny kolor, inne zabarwienie i szereg trudno uchwytnych „drobiazgów", które stanowić mogą nieraz, jak to np było w Budapeszcie, o łatwiejszem konsumowaniu jej przez widownię. Tak należy dążyć, mojem zdaniem, raczej do odrębnych przeróbek francuskich, włoskich i angielskich, z których każda umiałaby dodać ów „specyfik", ów niedostrzegalny prawie odcień, stanowiący o „swoistości" sztuki.

Na czem polega ów aktualizm ogólno-ludzki „Nieboskiej" wzrastający, a nie malejący, wedle normalnego biegu zdarzeń, w czasie? Wypadki współczesne Krasińskiemu nie tłumaczą w pełni a nawet w większym procencie tych naprawdę tajemnych związków z daleką przyszłością. Rewolucja francuska, będąca wówczas już odległem wspomnieniem, nie miała cech, które szczególnie stanowią o aktualiźmie „Nieboskiej". Nawet wpływ nauk Saint-Simonistów nie tłumaczy wszystkiego. Podstawowemi bowiem motorami społecznej części „Nieboskiej" są dwie warstwy, dwie klasy, walczące ze obą: wyzyskujących i wyzyskiwanych.



Na prawo: Scena w domu warjatów według, inscenizacji J. Gołaszewskiego (Teatr w Sosnowcu)



Powyżej: Tłum robotników pod wodzą Leonarda. — Fragment II aktu, na scenie budapeszteńskiej. *Fot. M. Pál, Budapeszt*

Krasiński wyprowadził więc pierwszy do literatury walkę klas, ujmując ją w skrajnej rewolucyjnej formie. Związał klasy pracujące życiem fabrycznem (częściowo), jakby przewidując rozwój maszynizmu współczesnego, który umożliwił wzrost ogólnego wyzysku kapitału. Przewidział również udział żydów w ruchu rewolucyjnym, powodując się skromnemi przesłankami z roli, jaką odegrali w ruchu Saint-Simonistów. Tak na podstawie bardzo nikłych danych (np. strajk tkaczy jedwabiu w Lyonie) zdołał wydedukować nie tyle proroczo, ile mocą swej inteligencji, popartej intuicją wyrozumowany obraz wstrząsów społecznych. Drugą cechą trwałości i powszechności arcydzieła Krasińskiego jest skrajność, ekstremizm obu przeciwstawionych tu światów. Krasińskiemu nie chodziło bowiem o jakieś naturalistyczne poszukiwania przyszłości, był na to za wielkim artystą, ale starał się, idąc znamienitemi wzorami klasycznemi, stworzyć typy tak, jak to tworzył dramat antyczny, dramat klasyczny francuski i tyle innych. W odróżnieniu od swoich prawzorów stworzył on nietylko typy poszczególnych jednostek, ale typy warstw społecznych, na co próżno dziś silą się autorzy sowieccy. W ten sposób wprowadził w ogólno-światową technikę dramatyczną nowy zupełnie, oryginalny element, pasujący go obok innych cech na twórcę o cechach genjalności. Typy mają zawsze wyższą żywotność nad najwierniej choćby odtwarzanemi indywiduami, postać historyczna w dramacie nie zajaśnieje wiecznotrwałością, jeśli nie znajdzemy w niej jakiegoś prawzoru, do którego odnieść możeby szereg jednostek ludzkich. Trzeci wreszcie element umożliwiający tą ogólną zrozumiałość i współczesność dzieła jest głębokie wykształcenie historjozoficzne Zygmunta Krasińskiego. Widzi on źródło konfliktu społecznego nietylko w aktualnych wydarzeniach ekonomicznych, ale w wielkiej Nemezis historji, sięgającej swemi korzeniami w wczesne średnowiecze. Ostatnią wreszcie cechą jest walka rewolucji z religją katolicką, jako symbolem dawnego świata, jakby antycypowanie późniejszych walk bezbożniczych, nie mających również pełnego precedensu w rewolucji francuskiej.

Wiedeńska inscenizacja „Nie Boskiej" zrozumiała nam będzie lepiej na tle polskich wysiłków w tej dziedzinie. Kraków porywał się dwukrotnie na inscenizację tego dramatu, prócz tego kilkakrotnie wystawiając fragmenty. W Warszawie największy rozgłos uzyskała koncepcja reżyserska Leona Schillera. Była to jednocześnie ostatnia sztuka, jaką wystawiono w teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego (11 czerwca 1926 r.). Leon Schiller, chcąc zasadniczo odróżnić się od poprzednich inscenizacyj (zwłaszcza krakowskich) podkreślił bardzo silnie momenty społeczne i jednocześnie ubrał aktorów w współczesne kostjumy. Popełnił tem niewątpliwie błąd reżyserski, nie rozumiejąc, że wartość „Nieboskiej" polega na wiecznej aktualności i skierowaniu na nowe wydarzenia, które zawsze mogą przyjść. Cenna była w tem przedstawieniu szczególnie współpraca artystyczna śp. Wincentego Drabika, który po raz drugi wykonał „kompozycję plastyczną" tej sztuki. Pierwszy raz w Teatrze Polskim (7 lat przedtem) znalazł dla niej nowe jeszcze bardziej ciekawe formy. Znane jest marzenie Drabika, może niezrozumiałe dla tych, którzy nie znali bogactwa jego fantazji, by „Nieboską" wystawić bez słów, jako feerję barw, świateł form i dźwięków. Była to utopja, świadcząca jednak o tem, jak nieustannie dzieło Krasińskiego może zapładniać różnorodnie twórcze umysły.

Ostatnie inscenizacje, wiedeńską i budapeszteńską, należy uważać za jedne z najtrafniejszych podejść do tego dzieła. Po świetnej premjerze wiedeńskiej przyszła budapeszteńska. Przeróbka Fr. T. Csokora służyła tu jako substrat dla tłumacza, znanego poety węgierskiego Loenericza Szabo.



Na prawo: Salon. — Projekt dekoracyjny Drabika (Teatr Polski w Warszawie)

Reżyserował tę sztukę w Węgierskim Teatrze Narodowym dyrektor A. Nemeth, konkurując znamienicie ze swym wiedeńskim kolegą. Szczególną opieką otoczono stronę dekoracyjną, zaprojektowaną przez J. Horwatha. Czołowe role wykonali Fr. Taray, Henryka, a Kiss, Pankracego. Grą i urodą wyróżniła się Anna Zapothy w roli Marji.

Dwa kolejne sukcesy „Nieboskiej", rosnący zagranicą entuzjazm dla dzieł Moniuszki w pełni potwierdza przewidywania tych, którzy orzekli, że pierwszą fazą penetracji kulturalnej Polski na Zachód będzie jej teatr, zwłaszcza romantyczny.

Dr Władysław J. Dobrowolski.

ZA KULISAMI MUSIC-HALLU...



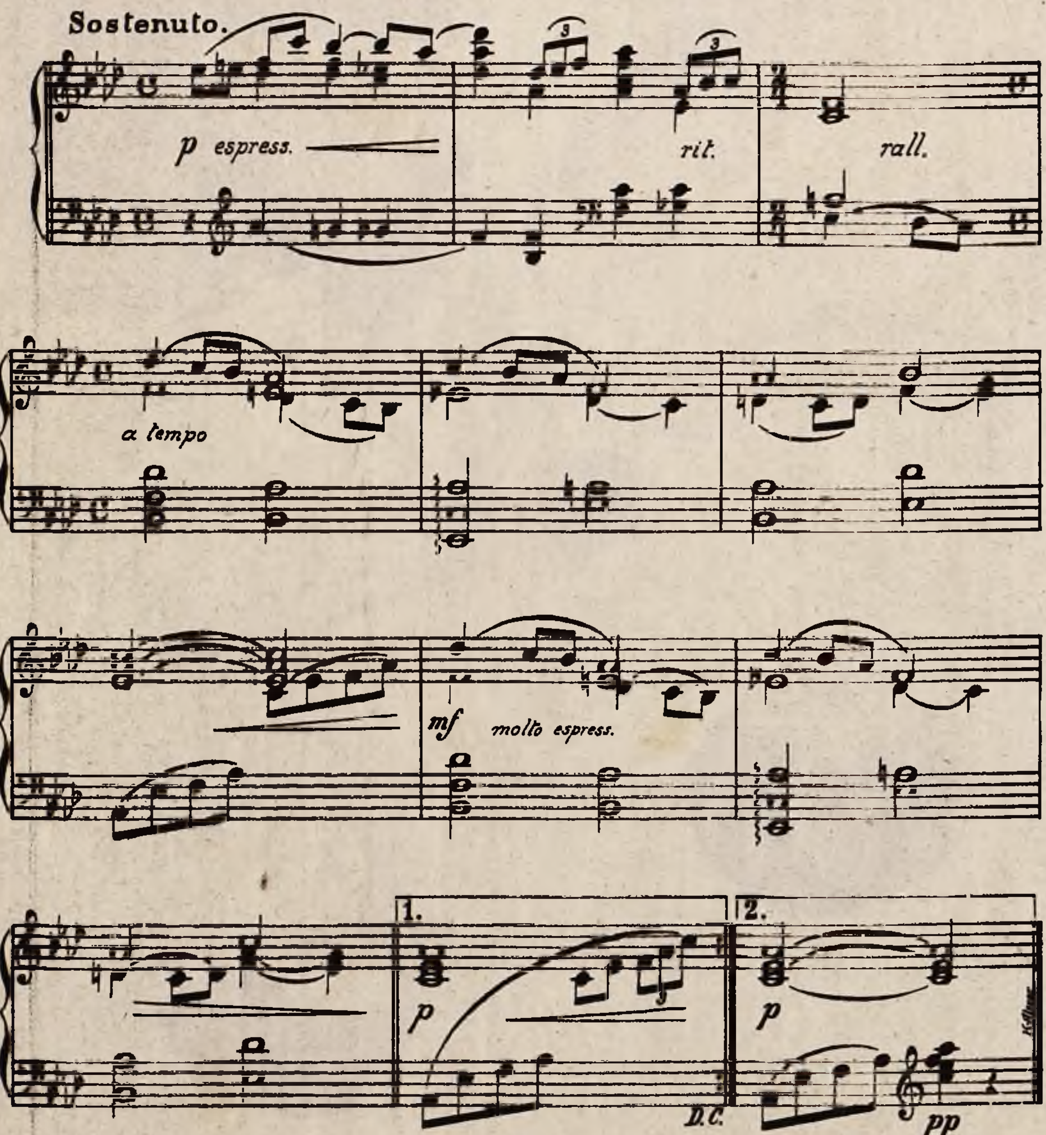
W dniu Koncertu Jubileuszowego prof. Kazimierza Meyerholda w Polskiem Radju

DWA FRAGMENTY

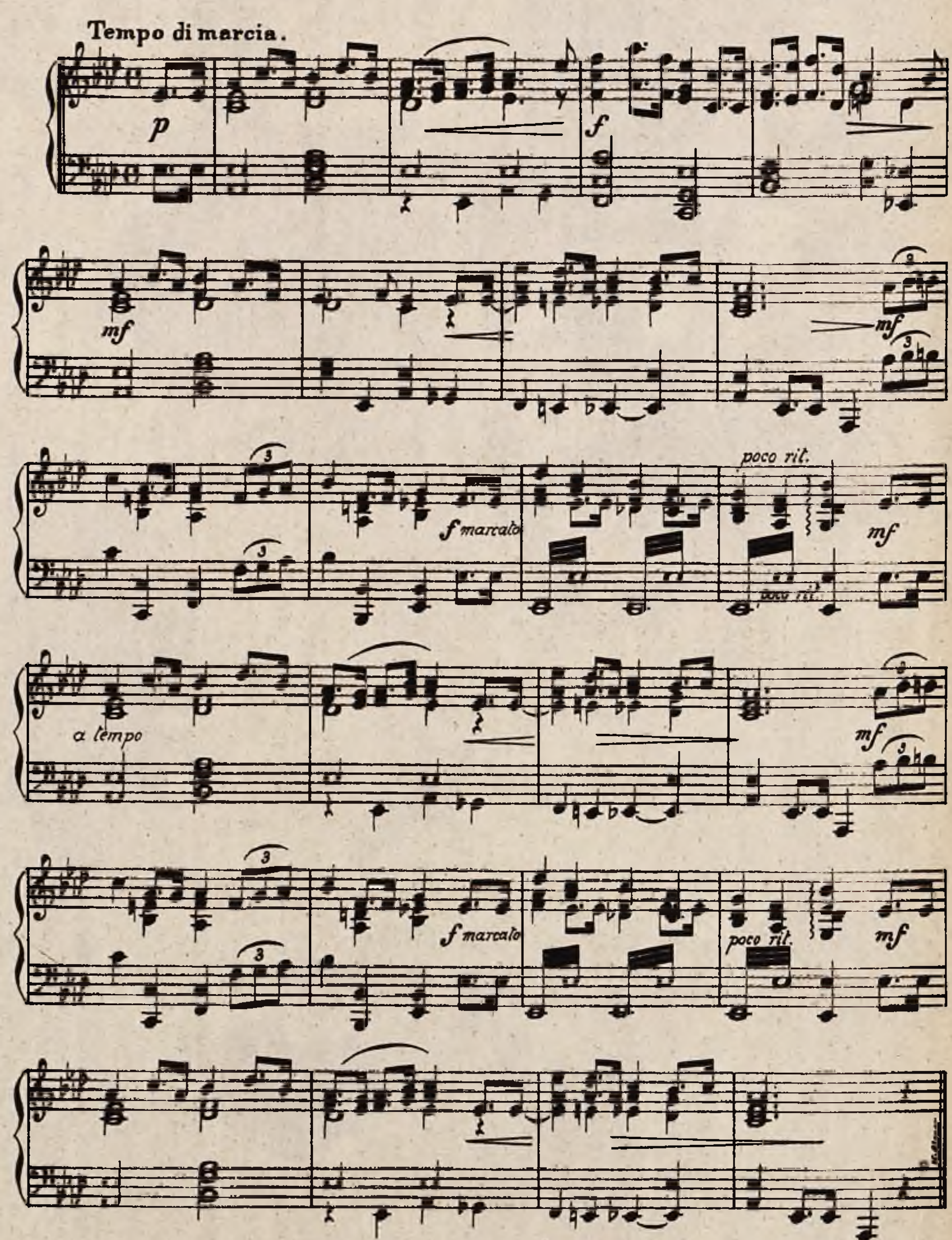
muzyki do komedji Szekspira »Co tylko chcecie« (»Wieczór Trzech Króli«)

KAZIMIERZ MEYERHOLD (1933)

I. SCENA MIŁOSNA



II. MARSZ WESELNY





Królowa MAROTIRI

OPOWIEŚĆ Z MÓRZ POŁUDNIOWYCH

Napisał: LEONARD ŻYCKI-MAŁACHOWSKI. Ilustrował: CHARLIE.

Ciąg dalszy z numeru 48-go.

zostało nadzwyczaj dokładnie obliczone i dzięki temu podróż nasza trwała dwa dni dłużej, niż powinna przy takim wietrze i pogodzie i zajęła nam przeszło tydzień. Bo dopiero ósmego dnia rano ujrzeliśmy na podwietrznej naszą upragnioną wyspę. Gdyśmy podpłynęli bliżej, okazało się, że pierścień atolu jest tak szczelnie zamknięty, że niema mowy o przedostaniu się do bezpiecznej laguny wewnętrznej. Daremnie opływaliśmy całą wyspę dookoła. Wszędzie było to samo i trzeba się było zatrzymać na redzie. Nie było to pocieszające, bo na Pacyfiku trzeba być zawsze przygotowanym na najgorsze Jedyne, co można było zrobić — uwijać się, ile tylko można z wydobywaniem pereł. Spuściliśmy tedy szalupę i wpłynęliśmy do laguny przez płytki kanalik. Malolo trzymał w rękach „wziernik" — rodzaj skrzyni ze szklanem dnem — i zanurzając go do połowy w wodzie uważnie obserwował dno. Ja zaś obserwowałem wyspę. Lecz była ona jak wymarła i nikogo nie można było dostrzec. Miałem chęć wylądować i przekonać się, jakich ona ma mieszkańców, lecz nie starczyło na to czasu. Malolo znalazł bowiem duże złoża perłopławów i kazał nurkom wziąć się do dzieła. Nasi nurkowie: Kakino i Tumea byli rzeczywiście mistrzami w swym zawodzie. Nadzy, z woreczkiem na szyi i nożem w ręku skakali w głąb i kilku ruchami odcinali od skały muszle, napełniali niemi woreczki i jednym susem odbijali się na powierzchnię. Wszystko to trwało najwyżej półtorej minuty. Po krótkim wypoczynku przy łodzi skakali po nowy ładunek. Tymczasem Malolo otwierał muszle jedną po drugiej i uważnymi palcami badał mięsisty płaszcz Lecz z gestem zniechęcenia rzucał ją nabok. Po dwu godzinach takiej pracy rezultat wyrażał się zaledwie w kilku perłach, lecz tak małych, że nie warto ich nawet uważać za perły. Trzeba jednak było przerwać pracę, bo nurkowie już się pomęczyli. Coraz częstsze robili odpoczynki, a słabszemu Tumei krew się puściła uszami i nosem.

Przerwaliśmy zatem pracę na kilka godzin, które zużyliśmy na zwiedzenie wyspy. Nie robiła ona miłego wrażenia. Pośrodku niby głowa cukru wznosił się krater wygasłego wulkanu. Naokoło niego suchotnicza roślinność, niepodobna do bujnej roślinności wysp południowych, wiła się i pełzała. Sam krater czynił wrażenie poprostu niesamowite. Nie rosła w jego wnętrzu ani jedna roślina. Widocznie nie mogła znieść przykrego zapachu czy działania gazów, unoszących się z błotnistej jego powierzchni. W jednem miejscu było coś nakształt skalnej niszy. Bielało w niej mnóstwo kości, które bardzo wyglądały na ludzkie.

— Tutaj widocznie bronili się przed korsarzami — rzekł Malolo.

Mimo, że spotykaliśmy stare, walące się chaty, nie widzieliśmy nigdzie śladu mieszkańców. Jakaś musiała się tu kryć tajemnica. Czy wyginęli wszyscy w walce z piratami, czy też opuścili wyspę, na której ciążył gniew bogów.

Lecz nie było mowy o zajmowaniu się wyspą. Żeby tylko można znaleźć te obiecywane skarby i uciekać stąd jak najdalej, bo coś niedobrego działo się gdzieś za horyzontem. Malolo instynktem przeczuwał jakieś niebezpieczeństwo, choć słońce świeciło tak jasno, jak przedtem, a najmniejszy wietrzyk nie wskazywał na ślad burzy. Jednakże Pacyfik ma swe kaprysy i nigdy nie należy mu ufać.

To też, jak tylko nurkowie byli zdolni do dalszej pracy, rozpoczął się połów na nowo. Tym razem szczęście bardziej nam sprzyjało. Już po kilku nurkowaniach Malolo z triumfem pokazał mi trzy perły, wartości conajmniej pięćset dolarów każda. Więc perły jednak są.. Nurkowie teraz pracowali z większym zapałem, gdyż im przyrzekłem „corned beef", największy przysmak wyspiarzy.

Nagle Kakino wypłynął na powierzchnię bardzo zaaferowany.

— Włócznię! Prędzej! — zawołał.

Majtkowie podali mu półtora metrowej długości bambus, zakończony ostrzem i poczęli skakać z radości, gdy Kakino znów rzucił się w wodę. Nie rozumiałem z czego tak się cieszą, aż mi Malolo musiał wytłumaczyć, że Kakino natknął się na ośmiornicę i postanowił ją zabić, gdyż mięso jej jest cenionym przysmakiem i bodaj lepszym niż „corned beef". Chwyciłem z jego rąk wziernik i spojrzałem wgłąb. Tam się coś niewyraźnie kotłowało i woda naokoło barwiła się na atramentowo. Widocznie wrzała straszna walka między człowiekiem a potworem głębi. Tymczasem w niedługiej chwili Kakino wypłynął na powierzchnię. Nie znać było na nim wysiłku i jedną ręką lekko pilotował zabitą ośmiornicę.

Wydobyta na pokład szalupy i rozłożona na nim szeroko czyniła wrażenie potwornego pająka. Tylko jej głowa a właściwie tułów nie przypominał tułowia pająka. Okrągły, z czerwonemi oczyma i trójkątnym otworem gębowym, robił wrażenie jakiejś potwornej głowy ludzkiej. Przypominały się owe głowy z bajki, które biegają na pajęczych nogach.

Lecz moich kanaków to podobieństwo bynajmniej nie przerażało i opowiadali weso-

ło, jakie to można przyrządzać z tej zdobyczy wyszukane dania

Lecz nie było widocznie przeznaczonem, żeby Kakino jadł potrawę ze zdobytej przez siebie ośmiornicy. Bo w kilkanaście minut po wydobyciu potworka nastąpiła straszna tragedja. Kakino już na powierzchnię nie wypłynął.

Zanim się zorjentowano i Tumea skoczył mu na ratunek — już było za późno. Kakino już nie żył. Dostał się w pułapkę zastawioną przez małża-olbrzyma, którego skorupy mają do półtora metra długości i ważą ponad 250 kilogramów. Kakino włożył nieuważnie rękę w poły jego płaszcza i ogromne skorupy chwyciły ją jak w kleszcze.

Gdy Tumea dotarł do nieszczęśliwego nurka — Kakino już nie żył. Próbował on ostatnim wysiłkiem obciąć sobie rękę, uwięzioną w skorupach małża, ale już nie zdążył.

Tumea wypłynął i z płaczem opowiedział nam o śmierci towarzysza. Kazałem go wydobyć, żeby móc go pochować na wybrzeżu.

Malolo siedział przez ten czas nieruchomo, pogrążywszy się w zadumie. Oczy jego były utkwione w daleki horyzont Nagle drgnął i zawołał:

— Uciekajmy na morze póki czas! Jeżeli nie zdążymy odpłynąć na bezpieczną odległość od wyspy, stracimy statek i sami zginiemy! Huragan nadchodzi!

Instynkt wyspiarzy jest tak niezawodny, że nawet nie próbowałem się przeciwstawić choć słowem. Prędko wypłynęliśmy wąskim kanalikiem z laguny i wbiegliśmy na pokład szkunera. Podniesienie kotwicy i rozwinięcie żagli nastąpiło w jednej chwili. Gdy słońce zniknęło za nieprzeniknionym płaszczem chmur, byliśmy już daleko od wyspy.

I wtedy, na pełnem morzu, porwał nas w objęcia najpotężniejszy, jaki przeżyłem, huragan.

Potężny wicher nadleciał tak nagle, że nie zdążyliśmy zbrasować żagli. Wichura uderzyła w nie z taką mocą, że rozerwały się z hukiem armatniego wystrzału. Szkuner pozbawiony żagli przestał słuchać steru i stał się bezwolną igraszką fal.

Potężne góry wodne przewalały się przez pokład „Arabelli", uniemożliwiając wszelkie próby naprawienia żagli. Jedna z nich wdarła się przez źle zamknięte drzwi do kambuza i wkrótce z kambuza pływały tylko połamane deski. Stanowczo „Arabella" miała swój pechowy dzień i tylko swej wysokiej klasie zawdzięczała, że trzymała się jeszcze i walczyła.

Przyszła noc i potęga wichru nie zmalała ani trochę. Z nieprzeniknionej, czarniejszej od smoły ciemności, wyrywały nas co chwila jaskrawe błyski uderzających piorunów Wtedy na moment ukazywały się w jaskrawem ich świetle i „Arabella" z poszarpanemi żaglami i złowrogie w swej potędze fale i nasze trwogą napiętnowane twarze. Nie znałem wtedy Mickiewicza, ale gdym go potem czytał, podziwiałem, jak on wspaniale opisywał podobne burze. Przecież to tak, jakby pisał o naszej „Arabelli".

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki.
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki.
Słońce krwawo zachodzi! — z nim reszta nadziei.

Wicher z triumfem zawył, a na mokre góry.
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił geniusz śmierci i szedł do okrętu.
Jak żołnierz szturmujący połamane mury.

Z tą tylko różnicą, że nie widzieliśmy wcale zachodu słońca, gdyż ukryło się ono od samego początku burzy za nieprzeniknionemi chmurami. Lecz tego genjusza śmierci, co szedł na szczytach potężnych fal do naszego biednego szkuneru czuliśmy wszyscy. I gdy w pewnej chwili rozległ się trzask tak głośny, że przedarł się przez ryk huraganu, wiedzieliśmy wszyscy, co to ma znaczyć. Wiedzieliśmy, że to kroczy ku nam śmierć.

Bo cóż innego mogło nas czekać, gdy w czasie huraganu wpadliśmy na rafę. Tylko śmierć!

Stałem w miejscu, nie kwapiąc się wcale do ucieczki z tonącego statku, bo cóżby to pomogło! Szalupę już dawno zerwały fale Stałem, trzymając się kurczowo barjery, a przez głowę przeleciało mi wspomnienie całego mego życia.

I ta ucieczka z domu i tułaczka wśród obcych i ta wiadomość, że nie mam już poco wracać do kraju, bo rodzice już nie żyją i wszystkie moje przygody wśród wysp południowych. Stałem, trzymając się barjery i czekając, aż statek się pogrąży i pociągnie mnie z sobą w głąb.



...ukazała niedaleko przed nami kontury wyspy...

I nagle błyskawica rozjaśniła horyzont i ukazała niedaleko przed nami kontury wyspy. I wtedy porwała mnie potężna chęć życia. Skoczyłem do wody i popłynąłem w kierunku wyspy. Znikła ona znowu w ciemnościach, ale doświadczone ucho mogło uchwycić ten charakterystyczny szum, jaki wydają fale, uderzając i rozbijając się o brzegi.

Byłem niezłym pływakiem i nigdy nie zaniedbywałem tego sportu, ćwicząc się w nim pod kierunkiem wyspiarzy, którzy są napewno najlepszymi pływakami na świecie. Lecz co innego jest pływać po spokojnej lagunie czy morzu, a co innego po falach, piętrzących się do kilkunastu metrów. Byłbym zapewne nie dopłynął do brzegu, gdyby nie Malolo. Skoczył on do wody jednocześnie ze mną i płynąc obok, podtrzymywał mnie, gdy jakiś potężny bałwan chciał mnie wziąć pod siebie.

Nawet nie wiem, jak i kiedy dopłynęliśmy do lądu. Ale wiem, że nigdy w życiu nic bardziej męczącego nie robiłem. Ostatnim wysiłkiem wyrwaliśmy się z pod ciosów fal, przewracających nas jeszcze na mieliźnie i usiłujących pociągnąć z powrotem. Wypełzliśmy na brzeg i padliśmy na piasku u pnia palmy. Padliśmy bez życia.

Gdy obudziłem się, z huraganu nie było już ani śladu i na cudownie błękitnem niebie świeciło w całym swym przepychu słońce Obok mnie siedział Malolo i przygotowywał śniadanie ze świeżo zerwanych orzechów kokosowych. Z prawdziwą rozkoszą wypijałem z nich orzeźwiające mleko.

Gdy pokrzepiłem się i wróciła mi, że tak rzekę, zdolność myślenia, zadałem memu towarzyszowi pytanie, jakie się musiało nasunąć kapitanowi statku: Gdzie załoga?

Lecz Malolo za całą odpowiedź tylko wzruszył ramionami. Tyle w tej sprawie wiedział, co i ja. Żeby uzyskać odpowiedź udaliśmy się na zwiedzenie wyspy, na którą rzuciły nas losy. Była to niewielka wysepka, typowego wulkanicznego pochodzenia. Właściwie była to raczej skała o dość wyniosłym szczycie i niewielkiej, piaszczystej plaży. Roślinność była dość skąpa i składały się na nią przeważnie palmy kokosowe. Bo też palmy kokosowe potrafią wyrosnąć nawet w najbardziej ustronnej części oceanu. Orzechy kokosowe, spadając do wody na jakiejś wyspie, umieją żeglować tysiące mil i kiedy je fala znów na jakiś ląd wyrzuci, kiełkują i dają początek nowej rodzinie palm.

Poszliśmy z Malolo wybrzeżem w nadziei, że jeszcze kogoś znajdziemy, co zdołał dopłynąć do brzegu tak jak i my. Jakoż po pewnym czasie ujrzeliśmy na piasku ciemny kształt. Podbiegliśmy, odwróciliśmy go twarzą do góry Był to Tumea, lecz nieżywy. Rozbita głowa i pozdzierana skóra z ciała mówiły o śmierci, jaka mu przypadła. Wpadł na skały, rzucony tak silnie przez fale, że doznał uszkodzeń, nie pozwalających na walkę z żywiołem i utopił się.

Lecz co się stało z resztą?

Obeszliśmy niewielką wyspę naokoło i nie natrafiliśmy na dalsze ślady.

— Oto jest wytłumaczenie — rzekł Malolo i wskazał ręką na trójkątny kształt, wynurzający się z wody niedaleko od brzegu. Ten kształt posuwał się szybko i krążył i nie było nic trudnego poznać w nim grzbietową płetwę rekina.

Tak, to było wytłumaczenie...

Złożywszy w piasku na ostatni spoczynek biednego Tumeę, udaliśmy się na dalsze badanie wyspy. Niewiadomo, jak długo będzie trzeba na niej pozostać, zatem należy poznać ją dokładnie. Przedewszystkiem należało wdrapać się na szczyt góry i rozejrzeć się, czy nie znajdujemy się w pobliżu jakichś może zamieszkałych wysp.

Droga na górę nie była zbyt stroma, lecz korzenie ~~palm i~~ pandanusów i ljany utrudniały ją Wyszliśmy już ponad pas roślinności na skałę, gdy nagle kroczący przodem Malolo wydał głośny okrzyk.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Pani na nartach

Piękna pani niełatwo rezygnuje z przywilejów, które nadała jej wszechwładna Moda. Czyni to niechętnie nawet wówczas, gdy specyficzne warunki wymagają od niej przystosowania się do praktycznych i tylko praktycznych wskazań w ubiorze. Może temu mamy do zawdzięczenia, że nawet standartowe modele kobiecych strojów sportowych, komponowane pod wpływem kompromisu w połączeniu estetyki wyglądu i koniecznej swobody w zastosowaniu form czysto sportowych, tylko bardzo rzadko wykazują właściwy umiar kompozycyjny, schlebiając najczęściej próżności i poprostu kompromitując właścicielkę stroju jako sportsmenkę.

Pisząc powyższe uwagi, myślimy przedewszystkiem o modelach paryskich mistrzów mody, którzy bynajmniej nie zadali sobie trudu, by wniknąć w ducha sportowego stroju. Oni to, preparując krzykliwe kicze, narzucają je potem fabrykantom, którzy zalewają niemi magazyny taniej konfekcji, przeznaczone dla niewybrednej klienteli. Przed tą „zarazą" należy panie przestrzec jaknajenergiczniej. Sport wymaga bowiem indywidualnego traktowania stroju u każdej z nas i dlatego tylko poszczególne jego części składowe nabywać możemy jako gotowe modele.

Jeśli już decydujemy się na uprawianie np. sportu narciarskiego, który bynajmniej nie należy do tanich przyjemności, musimy zarezerwować w jego budżecie miejsce na koszta, połączone z odpowiednim ekwipunkiem. I wtedy łatwiej nam przyjdzie zamówienie u krawca stroju narciarskiego, robionego na miarę. Tylko taki strój spełni stuprocentowo swe zadanie w terenie i da nam pełnię zadowolenia zarówno pod względem najbardziej do ideału zbliżonej estetyki sportowej, jak i z praktycznością połączonej wygody. Te dwa wskazania winny nam przyświecać w wyborze modelu z żurnala. Trzeba jednak pamiętać, że i te „autorytatywne" wzory, choć opracowywane na podstawie zaczerpniętego w terenie doświadczenia, mniej lub więcej starają się o wprowadzenie do narciarskiego dressu — w założeniu tak prostego — oryginalności, komplikującej niepotrzebnie spokojną linję sylwetki. — Dzieje się to poprostu dlatego, ponieważ nowy sezon wymaga od elegantki nowej kreacji, nawet na nartach. Tymczasem wszelkie „ulepszenia" kroju zgóry już przekreślają praktyczność stroju narciarki. — Inowacje zawsze chętnie przyjmiemy, ale w zakresie kolorów i gatunków materjałów, w wprowadzaniu nowych wzorów do rekwizytów, jak rękawiczek, czapek, szali, pulowerów, nawet butów i kamaszy, coraz częściej noszonych przez panie do półdługich spodni alpejskich.

Prunella.





Powyżej od lewej: Sportowy płaszcz zimowy z czerwonej skóry, podbity strzyżonym białym barankiem. — Oryginalny model futra z białego strzyżonego baranka: kapuza, pasek i mankiety z czerwonej skóry. *Fot. Dorvyne — Paryż.*

Poniżej: Dwa modele strojów narciarskich: norweski (na lewo) i t. zw. alpejski (półdługie spodnie).



Poniżej: W pogodny dzień zimowy, gdy słońce przygrzewa na szczytach gór, zahartowanej narciarce wystarczy wełniana koszula z krótkiemi rękawami... *Fot. Dr. P. Wolff.*



policzmy wiek



Nowoczęsne chusteczki batikowane na jedwabiu.

CHUSTECZKI DO NOSA



Na lewo: W XV w. chustka należała do zbytku, to też powyższy sztych z r. 1475 pokazuje nam, jak zastępowano go welonem czepka.

Uzupełnieniem garderoby w najpowszechniejszem dziś użyciu, to chusteczka do nosa. Biała — kolorowa, batystowa — jedwabna, tiulowa — koronkowa. Odmian jej jest bez liku, jeżeli jeszcze dodamy podział wedle użyteczności dla kobiet, mężczyzn i dzieci.

Możnaby w porównaniu z innymi wiekami zaryzykować zdanie, że wiek XX jest wiekiem chusteczki do nosa, jakkolwiek równocześnie jest wiekiem radja, aeroplanów, łodzi podwodnych i innych cudów techniki. Chociaż bowiem dzieje chusteczki do nosa sięgają epoki klasycznej, to jej rozpowszechnienie dzisiejsze jest następstwem dopiero rozwoju higjeny naszych czasów.

A zatem wróćmy myślą do Grecji i Rzymu. Upodobanie w retoryce uzewnętrznia się rozlicznemi przemowami filozofów. Zapał mówcy zwilża mu czoło kroplami potu. Czyż chlamidą ociera czoło? Nie, służy do tego osobny płatek lniany, zwany później „orarium" lub „sodarium". Używają go też i wytworne damy rzymskiego patrycjatu, powiewając ku zwycięzcom igrzysk lub ku aktorom na teatrum.

Chrystjanizm wciela płatek lniany do przedmiotów kultu religijnego, czem na długo usuwa go z życia prywatnego. Jak i inne pożyteczne odkrycia przypadają na czas odrodzenia, tak i chusteczka do nosa doczekała się swego renaissance'u i to we Włoszech. Podobnie jak i wachlarz staje się odrazu przedmiotem zbytku, a nie codziennej użyteczności. Ozdobiona prawdziwemi koronkami wchodzi na dwory królewskie w wymiarach dalekich od dzisiejszej miniaturki, jak to widzieć możemy na znanym portrecie Infantki Velasqueza, która trzyma dużą koronkową chusteczkę w prawej ręce.

Jako przedmiot drogocenny, liczona jest zaledwie na kilka sztuk, w posiadaniu swych władców. Henryk II miał zaledwie 5 chusteczek, Karol II, król angielski, mógł się obok trzech koszul poszczycić tylko jedną chusteczką...

Czy można się dziwić, że używanie chusteczek zakazywane było pośledniejszym stanom specjalnemi zarządzeniami królów i książąt? Jakże mógł wzbogacony kupiec lub mieszczanin ofiarowywać damie swego serca chusteczki, obszywane perłami? Były to przestępstwa, ścigane wyrokami prawa!



Na lewo: Chusteczka tiulowa bogato obszyta marszczoną valencienką z końca XVIII wieku.

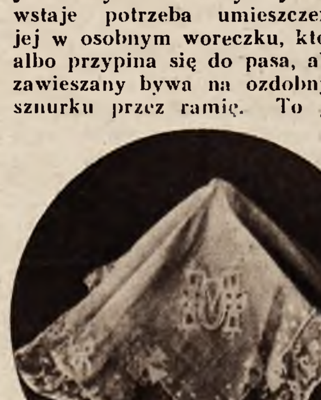


Na lewo: Empirowa chusteczka do nosa. Haft w deseń kwiatowy na tiulu.

Na przełomie XIX w. chusteczki znów zaprzątają umysły. Wąskie i przeźroczyste suknie kobiet nie pozwalają im chować chusteczki pod spodem, jak to bywało w zwyczaju. Powstaje potrzeba umieszczenia jej w osobnym woreczku, który albo przypina się do pasa, albo zawieszany bywa na ozdobnym sznurku przez ramię. To już bezpośrednie ogniwo do dzisiejszej torebki damskiej, bez której nie obejdzie się piękna pani ani na wizycie, ani w domu, ani na wycieczce dla celów sportowych, czy wypoczynkowych.

W torebce damskiej honorowe miejsce zajmuje chusteczka do nosa. Dziś bywa ona również przedmiotem zbytku, ale przedewszystkiem jest przedmiotem codziennego użytku, którą liczymy już nie na sztuki, ale na tuziny. Nowoczesna sztuka stosowana wyciska na niej coraz to inne piętno, a wiele kobiet posiada piękne kolekcje nietylko z batikowanych jedwabi, ale także o misternie szydełkowanych koroneczkach, które lekko ozdabiają płateczki jedwabiu, uzyskane nieraz z pozostałych resztek materjałów, używanych na inny cel.

Tak nowoczesna kobieta umie przetwarzać potrzebne jej do codziennego użytku przedmioty, ściągając je z niedosiężnych nieraz wyżyn zbytku do swego szarego życia, które pragnie i umie uczynić miłem i pięknem. **(H-a)**



W kole: Chusteczka z cieniutkiego batystu z koronką valencienne i monogramem z połowy XIX wieku.

Poniżej: Damy dworskie posługiwały się w XVII wieku chusteczkami nadmiernej wielkości (obraz Velasqueza).



ŻYCIE
TOWARZYSKIE i ARTYSTYCZNE

OBARSKA i RAKOWIECKI



Na deskach nowootwartego w Warszawie teatru „8.15“ występują z wielkiem powodzeniem w operetce „Gaby“ pp. Ola Obarska i Zbigniew Rakowiecki. Produkcje śpiewno-taneczne tego doskonałego duetu stanowią prawdziwą atrakcję przedstawień nowej stołecznej imprezy.

Foto Forbert — Warszawa.

ZAGRANICZNE WYSTĘPY PARNELLA

Balet Parnella, który nie tak dawno jeszcze święcił prawdziwe triumfy na występach w kraju, przebywa obecnie na dłuższem tournée artystycznem w Niemczech. Entuzjastyczne głosy tamtejszej prasy wskazują na wybitną oryginalność kunsztu naszych tancerzy i zgodnie podkreślają niezwykłą barwność poszczególnych obrazów, przyrównując balet Parnella do najsłynniejszych zespołów rosyjskich. Dla mieszkańców niemieckich miast prowincjonalnych występy naszych tancerzy stały się niepowszednią sensacją. Na zdjeciu: Parnell w obrazie „Łucznik“.



ŚLUB W POZNANIU



W kościele Serca Pana Jezusa na Jeżycach w Poznaniu został pobłogosławiony związek małżeński między p. Ruth Solańską i Adolfem hr. Ponińskim z Poznania. W uroczystości zaślubin wzięli udział: Helena hr. Ponińska, matka Pana Młodego, pp. dr. Stanisławowstwo Solańscy z siostrą Panny Młodej, dyr. Psarscy z Kościana, Gostynia i Borysławia, konsul Eug. Rozwadowski z Warszawy, pp. Bronikowscy z córkami z Rzegocina, pp. Nieniewscy z Sędzic, Lucjanowie hr. Ponińscy z Gór, Edwardowie hr. Ponińscy z Kościelca, płk. Józefowie Cegielscy, p. Celina Chłapowska ze Stawian, Michałowie hr. Mycielscy z Gałowa, dyr. B. G. K. Romański z Warszawy, szamb. Komierowski z Komierowa, sędzia Kobierzyski z Warszawy, Adolf hr. Żółtowski z Nekli, Helena von Wagner z Wiednia i in. Pan Młody jest znanym podróżnikiem i w tym charakterze odbył w ostatnich latach kilka podróży myśliwskich do Afryki. Fot. „As“.

ZARĘCZYNY MŁODEGO ROOSEVELTA



Najmłodszy syn prezydenta Stanów Zjednoczonych A. P. Roosevelta, zaręczył się z miss Ethel Doupont z Greenville, której rodzina popierała w ostatnich wyborach na prezydenta Stanów kandydata republikanów, gubernatora Landona. Z tego powodu ten „polityczny mezaljans“ wzbudził w całym świecie wielką sensację. Fot. New York Times — Londyn.

25 LAT PRACY ARTYSTYCZNEJ

W niedzielę 6 b. m. odbędzie się w Polskiem Radjo uroczysty koncert, poświęcony twórczości muzycznej prof. Kazimierza Meyerholda, który w dniu tym obchodzi jubileusz 25-lecia pracy artystycznej. Prof. Meyerhold, mieszkający od szeregu lat w Krakowie, dał się poznać jako wytrawny muzyk, łącząc talent kompozytorski z wybitnemi umiejętnościami aranżera imprez artystycznych i sprężystego kapelmistrza. Na szczególną uwagę zasługuje praca prof. Meyerholda na terenie Polskiego Radja.

Fot. Rosner — Kraków.



Zabawki małej Kiku-ko.



Widok na wulkan Fudżiama — świętą górę Japonji.

Japonja jest krajem, gdzie chyba najlepiej w świecie powodzi się dzieciom. Młode pokolenie jest tam otoczone pieczołowitością i opieką, nietylko w każdej poszczególnej rodzinie, lecz troszczy się o nie całe społeczeństwo. Święto dziewcząt w dniu 3 marca, zwane „świętem lalek" (hina-macuri), święto chłopców 5 maja t. zw. „tango-no-sekku" lub w dniu 15 listopada „sici-go-san", t. zn. uroczystość dzieci, które skończyły siedem, pięć lub trzy lata — są obchodzone w całym „Kraju wschodzącego Słońca". W ciągu tych świąt zaobserwować można zwyczaje, które dowodzą, że troska o należyte wychowanie dzieci była od wieków jednym z najważniejszych obowiązków rodziców.

Obecnie zbliża się już powoli „Sin-nen" (Nowy rok) — wielkie święto dla każdego Japończyka. — Cudzoziemca zwiedzającego w tym czasie Japonję, musi zastanowić nieprawdopodobna ilość najrozmaitszych zabawek i lalek wystawionych na sprzedaż w sklepach. Jeszcze więcej dziwimy się tłumom Japończyków, gromadzących się na wystawach urządzanych przez większe wytwórnie zabawek. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że w Japonji przyjęty jest zwyczaj wzajemnej wymiany podarunków w święta. Najlepiej wychodzą na tem dzieci, no i sklepy z zabawkami! Wyobraźmy sobie ile to trzeba lalek, zabawek i łakoci, by obdarować niemi dziatwę np. tylko w Tokjo liczącem kilka miljonów mieszkańców! Największe, rzecz zrozumiała, zapotrzebawanie w tym dziale przemysłu przypada na listopad i grudzień, gdyż należy przygotować zapasy na 15 listopada, na święto „sici-go-san", na św. Mikołaja, który to zwyczaj wraz ze Świętem Bożego Narodzenia przyjmuje się coraz szerzej w Japonji, oraz na Nowy Rok. Dodajmy do tego wymienione święta dziewcząt w marcu, chłopców w maju oraz obchód urodzin w poszczególnych rodzinach — a przyznamy, że wytwórcy zabawek nie mogą się żalić na zastój. Lalkami zresztą w Japonji bawią się nietylko dzieci. Na wystawach zabawek zauważyć możemy o wiele więcej dorosłych, niż młodzieży. A wszystkich interesują najdrobniejsze szczegóły. Ubogi rybak, w wytartem kimonie orjentuje się w strojach lalek i w epokach, które one przedstawiają, jak jakiś badacz ludoznawstwa.



Lalki, ofiarowane przez jedną z fabryk w Tokio córkom cesarza japonskiego.

Poniżej:
Lalki, t. zw. „ocu-ningjo" z celuloidu z ołowianym ciężarkiem w podstawie, który chroni je przed upadkiem.



Dotychczas zachowany jest zwyczaj, że matka wręcza córce wychodzącej za mąż lalkę, by ją zabrała do swego nowego domu, jako symbol macierzyństwa. Zaznaczyć wkońcu należy, że specjalnym powodzeniem w Japonji cieszą się przedstawienia marjonetek. Teatr lalek t. zw. Bunraku w Osaka jest stale przepełniony, a krytycy twierdzą, że sztuki „Chushin-gura", przedstawiającej tragiczną historję 47 roninów (błędnych rycerzy) nie potrafi lepiej wystawić żaden teatr z aktorami-ludźmi. Był też czas, kiedy w okresie Tokugawa (1603—1868) teatry marjonetek w Yedo, Kjoto i Osaka gromadziły więcej publiczności, niż teatr klasyczny „Kabuki", którego aktorzy przywdziewali maski, naśladujące oblicza więcej znanych lalek.

Lalki japońskie wyobrażają ludzi i zwierzęta. W tej pierwszej kategorji naśladuje się łudząco znane i wybitne postacie z hi-



Fabrykacja, laleczek, które w dniu swych urodzin otrzymał japoński następca tronu.

storij Japonji, zachowując równocześnie strój, fryzury i broń z tego czasu. Podobnie też zwraca się baczną uwagę na historyczne i regjonalne szczegóły przy wyrobie lalek, które mają uzmysłowić dawne zwyczaje. Rozchwytywane są np. lalki, przedstawiające zwyczaje dam dworskich z epoki Kamakura (1183—1332) i ubrane w specjalne stroje. Postać Buddy jest przedmiotem niezliczonych karykatur.

Niezmierną pomysłowość Japończyków odkrywamy w lalkach drugiej kategorji, przedstawiających zwierzęta. Artyzm wykonania łączy się z oryginalnym komizmem wyobrażenia daneg ozwierzęcia. Psy, koty lub słonie są tak zabawne, że niesposób wstrzymać się od śmiechu, patrząc na nie. Wielkim popytem cieszą się koguty z Ise, sarny z Kasuga i sroki z Haciman.

Podział lalek na ludzkie i zwierzęce kukły narzuca się mimowoli Europejczykowi po zwiedzeniu kilku sklepów z zabawkami. Japończycy natomiast czynią to jeszcze dokładniej, rozróżniając lalki według strojów i materjału, z którego są wykonane. Kami-komi-ningjo — to lalki z drzewa, przybrane w dawne stroje, hakata-ningjo wykonane są z gliny z wymalowanym ubiorem; cucumi-ningjo z gliny, kjo-mingjo z drzewa, ubrane w kimona jedwabne i z fryzurą. Trudno w tem miejscu wyjaśnić inne nazwy. jak: kami-hina, ocu, gosio, hakesiboko, sambaso, kosadate-mokuba itd. A z każdym rokiem przybywają nowe wzory i nowe nazwy.

Lalki wyrabia się w całej Japonji, lecz największy popyt mają wyroby tylko z kilku ośrodków tego przemysłu Każdy zaś z nich posiada własną specjalność. łatwo dostrzegalną dla znawcy. Tokjo np. produkuje wyroby celulojdowe i cynowe, w małej ilości natomiast drewniane, Osaka znane jest głównie z lalek, przybranych w stroje, Kjoto zaś z porcelanowych i glinianych lalek. Kukły historyczne,



Figurka, przedstawiająca ulicznego sprzedawcę koszyków.



N a p r a w o: Figurka Buddy, t. zw. „daruma", wyrabiana z celulojdu.



Mała japoneczka na wystawie lalek.

brzymich wiadrach miesza się glinę z wodą, następnie wypełnia się tą masą formy gipsowe, a gdy figurki stwardną po dwóch godzinach, wyjmuje się je i wynosi na powietrze i słońce. Po pewnym czasie tysiące jednakowych, dobrze wysuszonych wędrują do pieca, gdzie wypala się je dokładnie. Następnie po ochłodzeniu figurki przechodzą przez ręce malarzy. Każdy z nich coś domalowuje: jeden ręce, drugi nogi, trzeci usta tak, że wkońcu lalka przybiera wygląd tej, którą oglądamy w sklepach. Jeszcze na zakończenie wszystkie wędrują do odpowiednich kąpieli, utrwalających barwiki, by nie zbrudziły rąk dzieci, a później w... świat!

Zabawkarstwo jako gałąź przemysłu japońskiego, stanowi poważną rubrykę w eksporcie „Kraju Wschodzącego Słońca". W 1920 r. wywieziono zagranicę lalek za sumę 21.189.077 jenów (jen wynosi obecnie zł. 1.50). Kryzys światowy zmniejszył ten wywóz. Utrzymał się on aż do roku 1932 na poziomie 10 miljonów jenów rocznie, jednak już w 1932 r. Japończycy zdołali podnieść tę sumę do 15.119.000 jenów. W 1933 r. wywieziono zagranicę lalek za 26 375.000 jenów i podobnie rekordowe sumy figurują w statystyce eksportu za ubiegłe dwa lata. Największym popytem cieszą się lalki i zabawki japońskie w Stanach Zjednoczonych, które od kilkunastu lat, stale przyjmują jedną trzecią eksportu japońskiego w tym dziale. Na drugiem miejscu znajduje się daleka Anglja, następnie Indje i Australja.

Do Europy niestety bardzo rzadko docierają cenniejsze i droższe wyroby. Kto bowiem może sobie pozwolić na wydanie np. 150 dolarów za malutki posążek bożka szczęścia, lub za miniaturową rzeźbę z kości słoniowej, przedstawiającą tancerkę? Są to przeważnie dzieła słynnych rzeźbiarzy.

Ten.



Bazar w Tokio, w którym można dostać najrozmaitsze rodzaje lalek.

rzeźbione z drzewa morwowego i odznaczające się przytem wybitnie artystyczną formą, przychodzą z Nara, gdzie ten przemysł domowy kwitnie od niepamiętnych czasów i przechodzi z ojca na syna.

Prawie całe zapotrzebowanie eksportu zagranicznego pokrywa miasto Nagoja i jego okolice: Seto, Jokkaici i Tokaname. Wyrób tych tanich lalek jest nadzwyczaj prosty. W ol-



P o n i ż e j: „Kimekomi-ningjo", lalka rzeźbiona z drzewa.



P o n i ż e j: Laleczki, które Japończycy nabywają w „Dniu Chłopców" (5 maja).

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA POSTNA (a la Reine). Głowę karpia lub innej ryby kraje się w kawałki, macza je w jajku, osypuje mąką i tartą bułką, smaży w maśle wraz z małą, w płatki pokrajaną bułką, poczem daje się wszystko do miski i rozciera pałką lub tłucze poprostu w moździerzu. Masę stąd powstałą wkłada się do garnka, zalewa litrem gorącej wody, dodaje zasmażkę na cebulce, kto lubi, też trochę korzeni i gotuje przy ciągłem, powolnem wrzeniu przez 1 i pół godziny. Następnie przecedza się zupę przez gęste sito, przestudza, zdejmuje z niej tłuszcz, podgrzewa i podaje z grzankami lub grzybkiem.

SAŁATKA Z CZARNEJ RZODKWI. 2—3 główek czarnej rzodkwi obiera się, myje i obsusza serwetą, poczem trze się je na grubszem tarle do miseczki. Zaprawę stanowi sól, pieprz, szczypta cukru, dwie łyżki oliwy i octu i o ile jest, siekany szczypiorek. Sałatkę sporządza się tuż przed podaniem, gdyż przez dłuższe stanie, traci na smaku.

ROLMOPSY LUB ŚLEDZIOWE RULADKI. Duże, grube śledzie z tego rodzaju, które się bierze do marynowania moczy się przez 24 godziny, obciąga następnie ze skórki, odcina głowy, ogony i płetwy, nacina wzdłuż grzbietu i wyciąga ość grzbietową, oczyszcza z ości i rozkłada na desce. Każdą połówkę smaruje się musztardą, posypuje drobno siekaną cebulą, kaparkami i ziarnkami gorczycy, nakłada paskami korniszonów, kropi suto oliwą, zwija w ruloniki, owiązuje każdy łyczkiem. Tak przygotowane śledzie układa się w słoju i zalewa ostudzonym octem, zagotowanym z korzeniami i jarzynami, tj. kawałkiem selera i marchwi, pieprzem i cebulą. Przekąska ta przechowywana w chłodzie trzyma się dobrze parę tygodni. Śledzie wymoczone poprzednio w mleku tracą dużo z swej ostrości.

KOTLECIKI BARANIE A LA MINUTE. Kostki przy kotletach oczyszcza się z błonki i resztek mięsa za pomocą ostrego nożyka, następnie kotlety ubija się lekko, macza w oliwie lub roztopionem maśle, posypuje solą i opieka szybko z obu stron na ruszcie. Kostki kotlecików ubrane w papierowe mankieciki, zwane też papilotami, układa się w okrąg na półmisku, środek wypełnia się gęstym sosem musztardowym, lub jakąś jarzyną gotowaną w wodzie z solą, wreszcie duszonemi pieczarkami lub t. p. Podane jako przystawka na zimno, układa się kotleciki wokół ostrej sałatki jarzynowo-majonezowej.

STRUDEL (dla p. M. L. z al. Krasińskiego, której się nigdy ciasto strudlowe „nie udaje"). Aby się ciasto na strudel dobrze ciągnęło, nie śmie być „za bogate". Zwykłe dodatki, to pół litra mąki, letnia woda z solą i mała grudka masła wielkości orzecha. Ciasto powinno być zupełnie wolne i wybijane tak długo, aż tworzy pęcherze i zupełnie się od deski odrywa. Następnie przykrywa się je ogrzanym rondelkiem i pozostawia w spokoju przez godzinę, podczas którego to czasu przygotowuje się nadziankę; kilka przepisów na nie podajemy poniżej. Powracamy jeszcze do ciasta, mianowicie do sposobu wyciągania go tak, aby pozostało w całości, a nie tworzyło dziur. Postępować należy w ten sposób: stół nakryty obrusem posypanym sypką mąką, pod obrus na sam środek podsunąć odwrócony talerz. Ciasto wzięte w obie ręce kładzie się na środku stołu na podłożonym talerzu i rozciąga je, podkładając ręce od spodu z brzegu ciasta równo, chodząc dookoła stołu. Wąski, grubszy brzeg ciasta, pozostały przy cieniutkiej całości, odcina się nożyczkami, następnie kropi się ciasto masłem i posypuje tartą bułką. Przygotowaną nadzianką posypuje względnie smaruje się połowę ciasta, drugą połowę przerzuca się zręcznie przez nadziankę przy pomocy obrusa, który się wraz z ciastem podnosi, potem dopiero zwija się ciasto w rulon, układa w brytwance, kropi suto masłem i piecze w miernie gorącym piecyku. W ten sposób przygotowany strudel ma wygląd ciasta francuskiego. A teraz jeszcze parę przepisów na nadzianki.

NADZIANKA SEROWA. 12 dkg. masła, utrzeć na pianę, dodając po trosze 16 dkg cukru z wanilją, 6 żółtek i 48 dkg przetartego sera, pół łyżeczki soli, 1/4 l gęstej kwaśnej śmietany i wkońcu pianą z 6 białek. Garstka rodzynków lub sucha konfitura z wiśni należy również do tej nadzianki, lecz konieczną nie jest.

NADZIANKA ZIEMNIACZANA jest doskonała, trzeba się tylko dokładnie trzymać przepisu, który brzmi: 16 dkg masła utrzeć na pianę, dodając 16 dkg cukru z wanilją, 6 żółtek, 5 utłuczonych gorzkich migdałów i 3 dkg słodkich, również miałko utłuczonych, 30 dkg gotowanych przetartych przez sito ziemniaków, sok i skórkę z połówki cytryny, 5 łyżek gęstej śmietany i pianę z 6 białek lekko wmieszaną. Nie zapomnieć posolić. Po nałożeniu nadzianki na połowę ciasta posypuje się ją przebranemi rodzynkami (około 7 dkg) i smażoną tartą bułeczką. Dalsze postępowanie, jak wyżej podano. Na dopieczeniu polewa się strudel kilku łyżkami gorącego mleka z cukrem.

W następnym numerze „Asa" zajmiemy się już przygotowaniami na stół świąteczny.

Sc. Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Najcięższemi pracami w gospodarstwie domowem są bezwzględnie te, które trzeba wykonywać klęcząco. — Ostatnio wynaleziono w Niemczech gumowe ochraniacze, zakładane na kolana, które zarówno przy nacieraniu posadzki woskiem, jak również przy wszelkich innych pracach, wymagających klęczenia, chronią kolana przed uciskiem.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 50 **Grudzień** Dni 31
Niedziela **6** Mikołaja bisk.	Rosół á la Reine. Kalafior zapiekany w beszamelu. Kuropatwy z kompotem brusznicowym i gruszkami. Strudel z jabłkami. Kolacja: Kotleciki baranie z sałatką majonezową.
Poniedziałek **7** Ambrożego	Zupa ogórkowa z ziemniaczkami. Pierożki z słodką kapustą. Pieczeń sarnia z buraczkami. Krem z palonego cukru. Kolacja: Omlet z pomidorami.
Wtorek **8** Niepokal. P. NPM	Zupa pieczarkowa z płatkami. Móżdżek na muszelkach. Kapłon z sałatą lub ogórkami. Ptysie z kremem. Kolacja: Pasztet z dziczyzny.
Środa **9** Leokadji	Zupa ragoût z drobiu lub jarzyn. Rizotto z groszkiem zielonym. Pieczeń barania z kiszonemi rydzami i smażonemi ziemniaczkami. Kompot z śliwek suszonych lub konserw. Kolacja: Ziemniaki wypiekane z jajami.
Czwartek **10** NPM Loretańs.	Zupa kalafiorowa z grzankami. Salsefia i bulwy w cieście. Rozbratle z jarzynami. Budyń z bułek z szodonem. Kolacja: Gołąbki z ryżu.
Piątek **11** ...mazego p.	Zupa rybna z grzybkiem. Ruskie pierożki z śmietaną. Karp w szarym sosie z knedelkami bułczanemi. Kisiel żurawinowy. Kolacja: Rolmopsy domowe z pieczonemi ziemniaczkami.
Sobota **12** ...ksandra m.	Rosół "Julienne". Budyń ze szpinaku. Zajęcza pieczeń w śmietanie z makaronem. Kompot z jabłek. Kolacja: Naleśniki z kaszką krakowską.

HOCKI-KLOCKI

NA ŁONIE PRZYRODY.



— Czy pan nie uważa, że przyroda działa cuda? Człowiek czuje się taki wolny od wszelkich ciężarów... **Rys. Charlie**

ROZRYWKI UMYSŁOWE

WYCIECZKA GÓRSKA.

Dwóch przyjaciół postanowiło odbyć wycieczkę na szczyt o względnej wysokości 1030 metrów, na który prowadziły dwie drogi. Jedna — trudniejsza — długości 2360 m. i druga — łatwiejsza — długości 3510 m. Zdecydowali, że pójdą różnemi drogami, aby stwierdzić, który z nich pierwszy dojdzie na szczyt. Obaj wznosili się z prędkością 6 m. wzwyż na minutę. Który z nich przyszedł pierwszy i o ile minut wyprzedził drugiego?

BOADICEA I KLEOPATRA.

Boadicea umarła 129 lat po przyjściu na świat Kleopatry. Suma lat ich życia wynosiła 100 lat. Kleopatra umarła w roku 30 przed Chrystusem.

W którym roku urodziła się Boadicea?

TRZY MAŁŻEŃSTWA.

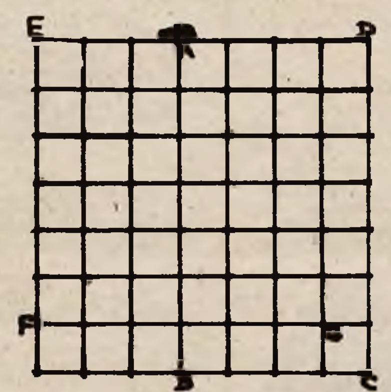
Pankracy, Bonifacy i Serwacy udali się w towarzystwie swych żon Pelagji, Kornelji i Leokadji (kolejność imion żon nie odpowiada kolejności imion mężów) na jarmark do miasta.

Bonifacy prowadził dwa razy więcej prosiąt niż żona Pankracego kaczek, zaś kaczek, które niosła żona Pankracego, było dwa razy więcej niż prosiąt prowadzonych przez męża Kornelji.

Kornelja nie miała kaczek, natomiast niosła ze sobą dwa razy tyle gęsi niż Leokadja. Leokadja miała dwa razy więcej gęsi niż Bonifacy prosiąt. Żona Banifacego miała dwa razy mniej gęsi niż żona Pankracego kaczek. Czyją żoną była Pelagja, czyją Kornelja i czyją Leokadja?

PODRÓŻ AUTOMOBILISTY.

Turysta znajduje się w punkcie A i chciałby przebyć możliwie najdłuższą drogę, zawracając jedynie piętnaście razy i nigdy nie



jadąc dwukrotnie tą samą drogą. Kropki przedstawiają miasta. Przypuśćmy na przykład, że podróżnik udaje się z A prostą drogą do B, potem — również prosto — do C, wreszcie do D, E, F, G. Jadąc w ten sposób przebywa trzydzieści siedem kilometrów (bok jednego kwadratu wynosi 1 km) i robi pięć skrętów. Ile kilometrów może przebyć turysta, jeśli mu wolno skręcić tylko piętnaście razy?

ZADANIE MATEMATYCZNE.

Która liczba, złożona z dziewięciu cyfr, pomnożona przez 123 . 456 . 789, daje wynik z 9, 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1 (w tym porządku) na ostatnich dziewięciu miejscach?

LICZBA 1927.

Czy można znaleźć takie wartości na p i q, aby $p^q - q^p = 1927$? Dla lepszego wyjaśnienia podajemy przykład dla liczby 1844, gdzie p = 3, a q = 7

$$3^7 - 7^3 = 1844.$$

Cy można w ten sam sposób otrzymać liczbę 1927?

WYJŚCIE Z SYTUACJI.



— Nie powinieneś pić, przecież nie możesz się utrzymać na nogach!

— W t... takim razie n... nie powinienem chodzić!... **Rys. Charlie**

Dokończenie ze str. 5-tej.

A jednak zbrojenia są konieczne. Pacyfista dziś przypomina człowieka, który, przyjechawszy z Afryki do północnej Europy, w dalszym ciągu pragnie przez rok cały pozostać nudystą. I przy 40-stopniowym mrozie chodzi nago...

Państwa nieuzbrojone — to tacy uparci nudyści. Zbrojenia dyktowane są nie jakąś imperjalistyczną zachłannością, ale instynktem samozachowawczym.

Gdyby Polska nie była państwem silnem — dawno już w granicach naszego kraju rozszalałaby wojna.

Gotuje się jednak wielka wojna przyszłości, w której nie będzie już neutralnych. — Wojna, po której może wzejdzie jutrzenka wiecznego pokoju...

Wells przewidywał, że gdzieś w wieku XXI na ziemi zapanuje wieczny pokój — a ludzkość wyruszać będzie na inne planety dla zdobywania nowych terenów ekspansji...

I wtedy dowiedzą się ku swemu wielkiemu zdziwieniu na Marsie, że tamtejsi mieszkańcy swego boga wojny — nazywali Kulą Ziemską.

Jest w tej przepowiedni ziarno prawdy... Prawdy o tyle, że nie zadługo jedynem naszem miejscem ucieczki od rozkoszy wojennych tego świata będzie stratosfera... Loty Piccarda — to wstępne patrole — szukające dla ludzkości... schronów powietrznych. Trzeba się schronić, albo pod ziemią, albo nad ziemią — bo na ziemi coraz bardziej gorąco!.

Zbigniew Grotowski.

ZABAWKA OPTYCZNA



Oto rysunek japońskiego artysty Keye Luke, przedstawiający znanego artystę filmowego Clark Gable'a. Wpatrując się w cztery białe punkty widoczne między oczami i licząc do pięćdziesięciu, spójrzmy następnie na białą ścianę a zobaczymy nasz obraz w odwrotnych kolorach.

To warto poznać...

NA SCENIE.

Teatr Polski w Warszawie wystąpił z nową premjerą. Dano potężny dramat Żeromskiego **„Sułkowski"**. Widowisko zostało przygotowane z niezwykłą starannością przez Juljusza Osterwę, który równocześnie odtwarza postać tytułową. Jako Sułkowski daje Osterwa znaną już z dawnych jego występów kreację, o której obecnie tak pisze Wierzyński:

„Sułkowski" miał w ostatniej realizacji oddanego opiekuna w osobie Osterwy, reżysera i odtwórcy głównej roli. Piękno sztuki było oczywiście nie ze świata teatru, lecz poezji. Najlepiej pod tym względem wypadł akt I i ostatni. Finał robi głęboko przejmujące wrażenie.

Osterwa oddał Sułkowskiego z odcieniem jakby kobiecej delikatności, którą niewątpliwie ma w sobie ten bohater, urodzony w marzeniu i przeniknięty zachwytem autora. Najlepszym akcentem brzmiał Sułkowski w akcie I-szym. Później zdałoby się może trochę więcej lirycznego ciepła, które Osterwa wyrzuca z swych postaci, jakby w obawie ich przesłodzenia. Troska ta wydaje się zbędna przy szczególnym talencie do wydobywania tonów matowych, w czem tak celuje nasz świetny aktor".

Rolę księżniczki Agnieszki gra Małkiewiczówna, która po raz pierwszy otrzymała tak odpowiedzialną i trudną rolę. Jest bardzo stylowa, nosi wybornie kostjum, projektowany przez Węgierkową, ale gra — jak stwierdza krytyka — jeszcze za sztywnie. Bardzo dobry jest Samborski, jako hrabia d'Antraigues. — Wierzyński stwierdza, że „przeciwnik Sułkowskiego, jadowity zausznik wszelkiego zła, miał umiejętnie dobraną maskę, podstęp w słowach i nieczyste serce w całem swojem życiu scenicznem. W pełni udana kreacja". Księcia Herkulesa gra Zelwerowicz, dobre role dają jeszcze Woskowski, jako Ventury, Butkiewicz jako Zawilec i Żeleński jako mimiczny Napoleon.

„Ludzie na krze" sztuka Wennera, o której z powodu jej sukcesów w Polsce kilkakrotnie już wspominaliśmy, wystawiona została ostatnio w **Teatrze Miejskim w Sosnowcu**, oraz w **Teatrze Nowym w Poznaniu**. W Sosnowcu przygotował ją reżysersko, gościnnie występujący, Jan Bonecki, który równocześnie odtwarza rolę ojca, grając ją bardzo ciepło i przekonywująco. Grał już tę rolę niedawno w Łodzi. Doskonałym partnerem Boneckiego jest w roli inżyniera dyr. J. Gołaszewski. Dobrze grają: Halina Jasnorzewska (Paulina), Anusiakówna (Hanka), Kostrzyński (Jurek), Krotke (reżyser filmowy) i Arciszewska (żona profesora).

W Teatrze Nowym w Poznaniu przygotował „Ludzi na krze" reżysersko Ryszard Wasilewski, który gra również rolę ojca profesora. Bardzo dobrą jego partnerką w roli Pauliny jest Zaklicka, mocne momenty ma jako inżynier Zdeniek — Peliński, żonę gra Korecka, ciotkę Młodzilejowska, Hankę Śląska, a inne role odtwarzają Tylczyński, Smoczyński, Piotrowski, Przystański oraz Jaroń, który jest ulubieńcem publiczności w rolach komiczno-charakterystycznych.

Teatr Ziemi Pomorskiej gra obecnie **„Damę Kameljową"** Dumasa, w której rolę Małgorzaty odtwarza niezrównanie Stanisława Mazarekówna, a rolę Armanda Duvala, Surzyński. Zresztą cały zespół z dyr. Brackim na czele gra bardzo starannie.



ROMANA PAWŁOWSKA, świetna artystka dramatyczna, dała ostatnio w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie kilka doskonałych kreacyj.

NOWE KSIĄŻKI.

Rok wydawniczy 1936/37 w dziedzinie polskiej beletrystyki zapowiada się bardzo obficie i dobrze. Ukazała się już doskonała książka **Jarosława Iwaszkiewicza**, gustownie przez Gebethnera wydana, a zawierająca dwie opowieści: „Nauczyciel" i „Młyn nad Utratą" — obie wysokiej klasy. W najbliższych dniach ukażą się dwa wielkie ciekawe debiuty **Aliny Segeń** „Anna" — prosta, wzruszająca powieść o nieszczęśliwej miłości — oraz **Henryka Worcella** „Zaklęte rewiry", powieść o pikolakach i kelnerach. Wielkiem wydarzeniem literackiem będzie nowy tom Wacława **Berenta** „Diogenes w kontuszu", dwie opowieści biograficzne z końca XVIII-wieku.

Następnie będziemy czytali „Pluton z Dzikiej Łąki", nową powieść M. **Rusinka**, oraz dawno oczekiwany „Szpital Czerwonego Krzyża" Michała **Choromańskiego**. Fragmenty tej powieści, drukowane w czasopismach, wywarły duże wrażenie. Ukaże się również dalszy tom z pięknego cyklu „Matka Judasza" Ewy **Szelburg-Zarembiny** p. t. „W ogniu". Jakby dalszy ciąg „Pieniądza" ukażą się „Miljardy" Andrzeja **Struga**. Duże zainteresowanie wzbudziła również zapowiadana górnośląska powieść Ferdynanda **Goetla**, pisarza bardzo przez czytelników lubianego, a dość długo milczącego. Również w bieżącym sezonie ukaże się powieść Jarosława **Iwaszkiewicza** „Garaż Męki Pańskiej", obrazująca dzieje wskrzeszenia przedstawień misteryjnych przed kościołem farnym jednego z miasteczek.

Na gwiazdkę Gebethner i Wolff przygotowuje dla młodzieży następujące książki: Kornela **Makuszyńskiego** „Awantura o Basię" dla dziewcząt i „Złamany miecz" dla chłopców. Ponadto ukaże się tom opowiadań dla młodzieży Zygmunta **Nowakowskiego**.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, — 6 grudnia:

9.00 Koncert rozrywkowy.
10.00 Transmisja nabożeństwa z Wilna.
12.03 Poranek muzyczny.
11.30 „Odgłosy Wileńszczyzny" — „Tatary" (z Wilna).
15.00 Recital skrzypcowy Oskara Szumskiego.
15.30 Audycja dla wsi.
16.30 Fragment słuchowiskowy p. t. „Zawisza Czarny".
17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie".
19.00 „Co to za poeta?" — szkic literacki.
19.20 Najpiękniejsze tenory — koncert z płyt.
21.00 „Na wesołej lwowskiej fali".
21.30 Koncert z okazji święta narodowego Finlandji.
22.10 „Wesoły wieczór" — wielkie podpouri muzyczne.

Poniedziałek — 7 grudnia.

11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert zespołu Pawła Rynasa.
12.10 „Nie przeciążajmy dzieci pracą" — pogadanka.
15.50 Fragmenty z oper Donizettiego (płyty).
15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.30 Piosenki w wykonaniu chóru Wiehlera, oraz Zyński i Szpilman.
17.15 Koncert kameralny.
19.00 Audycja żołnierska.
19.30 Koncert muzyki lekkiej.
21.00 „Artystyczna dynastia" — wieczór literacki.
21.30 Wieczór Schuberta.
22.00 Koncert symfoniczny.
23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek — 8 grudnia.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa z Kościerzyny.
10.30 Orkiestry salonowe i Billy Mayerl (pianista).
12.03 Koncert symfoniczny z Poznania.
14.30 „Tańce, pieśni i melodie polskie".
15.45 „Pamiętny most" — słuchowisko wiejskie.
16.35 „Wielkopolski kołowrotek".
17.05 „Dni powszednie państwa Kowalskich" powieść mówiona.
17.20 Konkurs orkiestr mandolinistów.
18.15 „Polskie ozdoby na polskiej choince" — pogadanka.
18.30 „Cztery noce w Tokio" — monolog K. J. Gałczyńskiego
18.40 „Sonaty skrzypcowe Beethovena".
19.00 „Dyskutujmy: „Czy kobieta mająca rodzinę powinna zawodowo pracować?"
19.20 „Imieniny Marysi" — koncert.
20.25 Koncert europejski z Anglii.
22.00 Kompozycje Jana Sebastiana Bacha.
22.30 „Kwadrans poezji ukraińskiej".
22.45 Muzyka taneczna.

Środa — 9 grudnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Zespoły: Ivory Koys i Sandlera płyty.
15.15 Kwintet Stefana Rachonia.
16.10 „Zagadka historyczna" (dla dzieci starszych).
16.30 Mercedes Capsir (płyty).
17.15 Koncert orkiestry kawaleryjskiej.
17.50 „Rozmowa z Adamem Mickiewiczem" — fikcyjny wywiad.
19.00 Grzechy dzieciństwa — fragment z powieści B. Prusa.
19.20 Polska Kapela Ludowa.
20.00 Muzyka salonowa.
21.00 „Opowieści o Chopinie" — wieczór V-ty.
21.30 Antoni Bruckner: Kwintet na 2 skrzypiec, 2 altówki i wiolonczelę.
22.10 „Mr. Flick ratuje sytuację" — lekka audycja muzyczna.
22.40 Do tańca przygrywa Mała Orkiestra P. R.

Czwartek — 10 grudnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek dla młodzieży.
12.03 Zespół Haliny Adamskiej-Grossmanowej.
15.15 „Z baletów Piotra Czajkowskiego" (płyty).
16.20 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci.
16.35 Koncert Orkiestry Reprezentacyjnej K. P. W.
17.00 „Na wywiadzie społecznym" — pogadanka.
17.15 Koncert kameralny.
19.00 Premiera słuchowiska pt. „Trzecie i ostatnie drzwi".
19.35 „55 minut w Wiedniu" (z Krakowa).
20.30 „Program niepodległości przed 100 laty" — odczyt.
21.00 „VIII audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich".
22.00 Koncert orkiestry wileńskiej.
23.00 Muzyka taneczna.

Piątek — 11 grudnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Orkiestra Eduardo Bianco i chór Juranda.
15.15 Koncert Małej Orkiestry Polskiego Radja.
17.15 „Afryka" — reportaż z płyt.
19.00 „Opowiadanie doktora" — fragment z powieści.
19.20 „Z pieśnią po kraju".
19.45 Fragment operowy.
20.00 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej.
22.30 „Nie tak prędko panie Drucik" — skecz.
22.45 Muzyka taneczna.

Sobota — 12 grudnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert Orkiestry Wojskowej.
15.15 Najpiękniejsze piosenki z operetek Lehara (płyty).
16.15 „W 350 rocznicę zgonu Stefana Batorego" — odczyt i transmisja z Zamku Król. w Grodnie.
17.00 Koncert solistów.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
19.30 Melodie egzotyczne.
21.00 Recital skrzypcowy Borriesa Siegfrieda.
21.40 Muzyka lekka.
22.00 Kukułka wileńska.
22.30 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.